Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 19 czerwca 1938 r. Nr. 25



W noc świętojańską

A kiedy sobótki zapłonie stos
Na uroczyskach w noc świętojańską,
Strojne w brylanty wieczornych ros —
Boginki leśne w krąg zatańczą...

Zabłyśnie ziemia tysiącem barw,
Blask zadrga na wód błękitnej wstędze
I przejdzie niebem i ziemią ten czar,
Co mieszka w legend otwartej księdze.

I w dal popłynie za łodzią łódź —
Ktoś szczęście znaleźć zapragnie nagle,
Ktoś zacznie marzeń nić zwolna snuć —
Pod aksamitnym tej nocy żaglem...

Maria Zemmlerówna.

10)

Anna

— Józik to mój jedyny syn, moje wszystko. Gdy mąż mi umarł miał lat pięć. Ciężko mi było, pracowałam bardzo, żeby go wychować i wykształcić. Nie rozstawaliśmy się, nie miał nigdy żadnych sekretów przede mną, aż dopiero jak go przenieśli do Nowogródka pojechał sam, bo musiałam zostać przy chorej i siostrze. W W trzy miesiące potem zjawił się u mnie z prośbą o błogosławieństwo. Co miałam robić? Mężczyzna potrzebuje żony... Nie pojechałem... zostałam już u siostry...

Znów popatrzyła na niego bezradnie, żałośnie.

— Boję się o niego. Anusia za ładna, za strojna, za wielka pani dla mojego Józka, a on ją tak kocha!...

Szczęknął klucz w zamku, skrzypnęły drzwi.

Staruszka poderwała się z miejsca.

— Oto i oni! — Pan nie powtórzy moich słów Annie — prosiła — byłoby jej może przykro i Józkowi także.

Pocałował ją w rękę.

— Może być pani pewna mej dyskrecji.

* * *

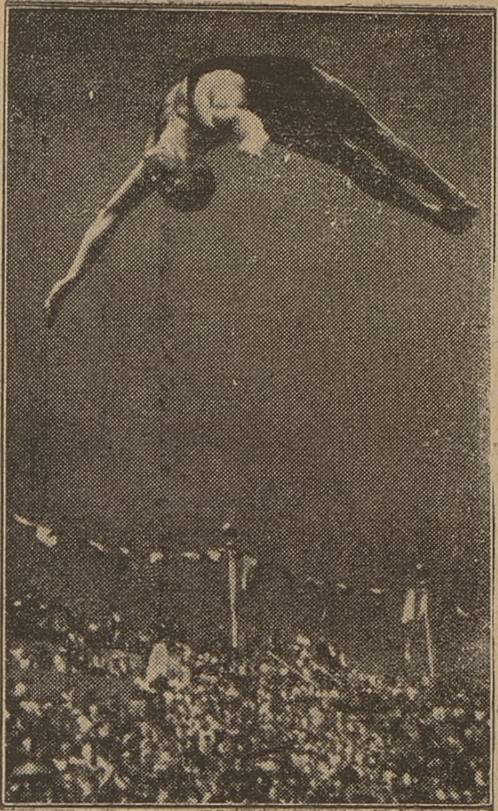
Zima przeszła, ustępując miejsca wiośnie. Tajały śniegi tworząc kałuże błota, na drzewach pojawiły się pączki, słońce grzało mocniej z każdym dniem, powietrze nabierało świeżości i aromatu właściwego wiośnie.

Wiosna przysporzyła pracy Leonowi; rzadziej zachodził do miasteczka i mniej często widywano go w towarzystwie pięknej pani komisarzowej. Anny nie widział od parę tygodni.

W marcowy pogodny dzień wybrał się do niej w porze popołudniowej. Wiedział że pan Józek ze starostą był na inspekcji w powiecie i dlatego wybrał się tak wcze-



Młodziutka tancerka, produkująca się podczas święta dla dzieci w Berlinie.



śnie, by wizyta owa miała pozór przypadkowy.

Na dworze było tak ciepło że w mieszkaniu Anny okna już były pootwierane.

Podniósł rękę do dzwonka i zatrzymał się. Zza okna bliskiego doszedł go przyciszony głos kobiecy o akcencie żydowskim.

— Dam wam znać przez Tessę lub Ruchlę, czy udało mi się doręczyć towar. Psy są teraz bardzo czujne i węszą niespokojnie, mogą mi przeszkodzić...

— Bądźcie ostrożni — tym samym szeptem odpowiedziała Anna — żeby samej nie wpaść i nas nie narazić.

Kroki zbliżyły się do drzwi.

Leon czekał sprężony w sobie.

Zabrzęczał spuszczony łańcuch, szczęknął klucz w zamku i we drzwiach stanęła stara żydówka z niedużym tłumokiem na plecach. Leon niby nieumyślnie zderzył się z nią, uderzając ramieniem w tłumok.

Kobieta z lekkim okrzykiem strachu zatoczyła się, tłumok upadł na ziemię, stuknąwszy głośno i ciężko o podłogę ganku. Leon z okrzykiem usprawiedliwienia schylił się i pomógł kobiecie zarzucić go sobie na plecy. Zawiniątko było ciężkie i zawartość jego wyglądała na mocno ściśnięte i sprasowane paczki druków lub książek. Kobieta była bardzo wystraszona. Objąwszy mocno oburącz końce zawiniątka zeszła szybko ze schodów i zniknęła za rogiem ulicy.

Anna pobladła, zmieszana patrzyła za nią dopóki nie zniknęła z oczu i dopiero wtedy, skierowała pociemniałe jakby wystraszone źrenice na Leona.

Ale Leon nie dał po sobie nic poznać. Podszedł do niej, ucałował dwukrotnie jej rękę i niepuszczając jej ze swej dłoni usprawiedliwiał się:

— Tak mi przykro, że przestraszyłem tę starą kobiecinę swym zjawieniem się, ale i sam byłem zaskoczony gdy stanęła na progu w chwili kiedy przyłożyłem palec do dzwonka.

Anna zapanowała nad niepokojem co w niej nurtował.

— Widocznie nic podejrzanego nie zauważył.



Dwa wspaniałe zdjęcia z filmu sprawozdawczego z olimpiady w Berlinie.

Przywołała na pobladłe usta uśmiech do oczu błysk radości.

— Wejdź — zapraszała go — miły ale dawno niewidziany gościu. Nareszcie przypomniałeś sobie o mnie.

— Byłem szalenie zajęty w ostatnim czasie, za to dziś nie mogłem się oprzeć chęci zobaczenia się z tobą...

Poklepała go po ramieniu poufale, serdecznie i ująwszy pod ramię poprowadziła do salonu.

— Dziś u mnie dzień porządków. Dopiero przed chwilą co posługaczka odeszła, a praczkę wyprawiałam z domu, gdy się zjawiłeś.

Wskazała mu krzesło.

— Siadaj i opowiedz, co porabiałeś przez te parę tygodni?

— Nic interesującego. Dozorowałem wiosennych robót...

A co u ciebie słychać?

— Józek wyjechał ze starostą robić jakieś dochodzenia z powodu buntów czy też wieców komunistycznych. — Jabym się nie cackała z takimi łajdakami! Pod ścianę, lub wieszać! Niszczyć ich własną ich metodą!

Mówiła to tak szczerze z takim prawdziwym oburzeniem, że Leona ogarnęło na chwilę powątpienie, czy jego podejrzenia były słuszne.

Zdjął go podziw dla jej sprytu i przebiegłości.

* * *

Wiosna działała na Wandę przygnębiająco. Budząca się do życia natura wywoływała w jej duszy niepokój i tęsknotę. Źle sypiała po nocach, robiła się skłonna do płaczu, denerwowała ją najmniejsza przykrość lub niepowodzenie.

Z Leonem widywała się jedynie w polu, przy obiedzie, przy składaniu raportu. Rano unikał spotkania z nią, wieczorami nie zjawiał się na kolację. Przestał nawet bywać u pani Haliny, tylko Anna chwaliła

się po dawnemu niby utyskując na jego częste wizyty.

* *
*

Przysłowiowa marcowa pogoda zaciągnęła chmurami rozsłonecznione niebo i drobny dokuczliwy trzydniowy „kapuśniaczek" rozpłatał się nad ziemią.

Wandę ogarnęła rozpaczliwa nuda. Chodziła po mało przytulnych, chłodnych, zaciemnionych ciężkimi jedwabnymi firankami salonach pałacu, ziębnięta, przygnębiona. Przygnębienie to i nuda potęgowało zrzędzenie pana Żułowskiego, który od paru dni czuł się niedobrze.

— Przywiozę wujowi proboszcza — ofiarowała się nad wieczorem.

Przywieź, dziecko, przywieź. Na bezrybiu i rak ryba.

Kazała zaprząc do powozu i pojechała. Na plebani świeciło się w salonie.

Weszła niepostrzeżona do sieni, stamtąd do stołowego pokoju i zatrzymała się. W saloniku ktoś grał na fortepianie.

— Ksiądz ma gości — żżymnęła się, niezadowolona, że nie będzie mogła zabrać księdza ze sobą do Bereznej.

Otworzyła drzwi do saloniku i cofnęła zaskoczona.

Przy pianinie siedział Leon, opodal niego w skórzanym staroświeckim, pradziadowskim fotelu proboszcz czytał gazetę.

Weszła na środek pokoju.

— Dobry wieczór księdzu proboszczowi.

Muzyka urwała się w pół akordu. Ksiądz upuścił gazetę. Z trudem uniósł swą korpulentną postać z głębi siedzenia.

— Wandzia, dziecko kochane. Niech cię uściskam...

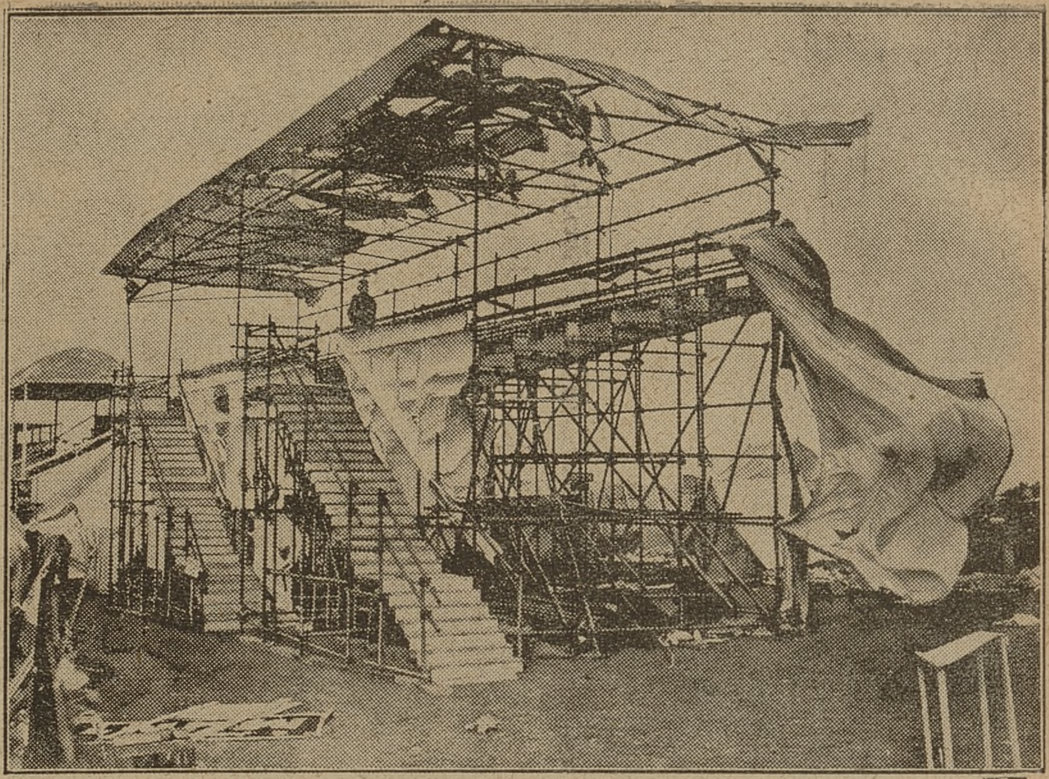
Ujął jej twarz w dłonie i pocałował w czoło.

— Przyjechałam porwać księdza do nas, a tu widzę ma proboszcz gościa — wskazała głową Leona, który wstał i porządkował nuty na pulpicie.

— Ten gość, to raczej domownik — objaśniał ksiądz — przychodzi często wieczorami pograć staremu.



W Lambrur (Anglia) wybuchł strajk dżokejów. Na zdjęciu córki lordów angielskich, opiekujące się końmi.



Podczas wielkich wyścigów konnych w Epsom (Anglia) huragan, który szalał jak to widać na zdjęciu, zniszczył trybuny na polu wyścigowym.

Przypomniała sobie niegrzeczne swoje zachowanie się w stosunku do Leona w sprawie fortepianu i zrobiło jej się nieprzyjemnie, ogarnął ją wstyd. Pożałowała swojej bezwzględliwości i niegrzeczności niczem nieusprawiedliwionej, chyba sadystyczną chęcią dokuczenia mu.

— Ja również wychodzę — upewnił ją. Pomógł księdzu ubrać się, narzucił na siebie palto i wyszli na ganek.

— Może i pan zabierze się z nami — zaproponowała.

— Nie dziękuję pani, idę w przeciwną stronę. Poczekał aż ruszyli spod ganku i skierował się w stronę miasteczka. Na ustach jego błąkał się pobłażliwy uśmiech

— Biedna dziewczyna — myślał — ucieka od miłości, zabija ją w sobie, a ona i tak ją pochwyci i przytrzyma w swych więzach.

* *
*

A biedna, magnacka bogata dziewczyna zaciskała ręce w szalonej męce zazdrości — poszedł do niej... do jednej z nich! Wszystko jedno, czy nosiła imię Zośki czy Anny, była tą jedną z nich.

* *
*

Anna ubrana w wzorzystą „piżamę" w złote i błękitne kwiaty, w błękitnych aksamitnych pantofelkach wyciągnęła się na otomanie podparłszy się poduszkami.

W sercu czuła radość i zadowolenie.

Intuicją przebiegłych kobiet odgadła miłość nieświadomą Wandy do Leona, miłość młodej, bogatej dziewczyny, mogącej Leonowi zapewnić utracone stanowisko w towarzyskich sferach kraju, zapewnić mu byt niezależny, otworzyć znów wrota do kariery.

Postanowiła za wszelką cenę przeszkodzić temu. Nie chciał jej, odepchnął ją dwa razy, nie będzie należał do innej a szczególnie do tej która by mu dała nietylko miłość ale i dobrobyt. Nie! Za nic! Sprytna kobieta zawsze dopnie swego. Pół słówkami, stworzeniem pozorów prawdy urzeczywistniła swój plan zemsty. Zatruła serce Wandy za pośrednictwem pani Haliny, napełniła je niewiarą, nieufnością i rozżaleniem.

Wczoraj mówiła jej pani Halina, że Wanda postanowiła wymówić mu posadę jak tylko znajdzie odpowiedniego następcę. Pisała w tej sprawie już do Warszawy.

Więc raduje się jej serce, i całe jej jestestwo promieniuje tą radością i triumfem.

Ktoś zapukał energicznie do drzwi kuchennych. Wolno, z niechęcią podniosła się z otomany i nie spiesząc się, ociągając szła do kuchni.

Na progu stał człowiek w czapce kolejarza.

— Przyniosłem towar — odezwał się.

Wpuściła go do sieni i zamknęła za nim drzwi na klucz.

Szedł prosto do kupy węgla opałowego, odsunął je na bok, wyjął ze ściany kawałek deski i w otwór wsunął paczkę, zaciskając szczelnie deskę z powrotem i zarzucając to miejsce węglem.

— Czy to już wszystko? — spytała Anna.

— Na razie wszystko. Szef oczekuje nowego transportu w tych dniach. Ciężką mieliśmy przeprawę, nim nam się udało przenieść towar, granica teraz jest tak szczelnie obstawiona. Trzy dni leżeliśmy jak martwi w błocie, jak piskorze zaryliśmy się w nim i pełzając przedarliśmy się przez szuwary, inaczej nie można było przejść.

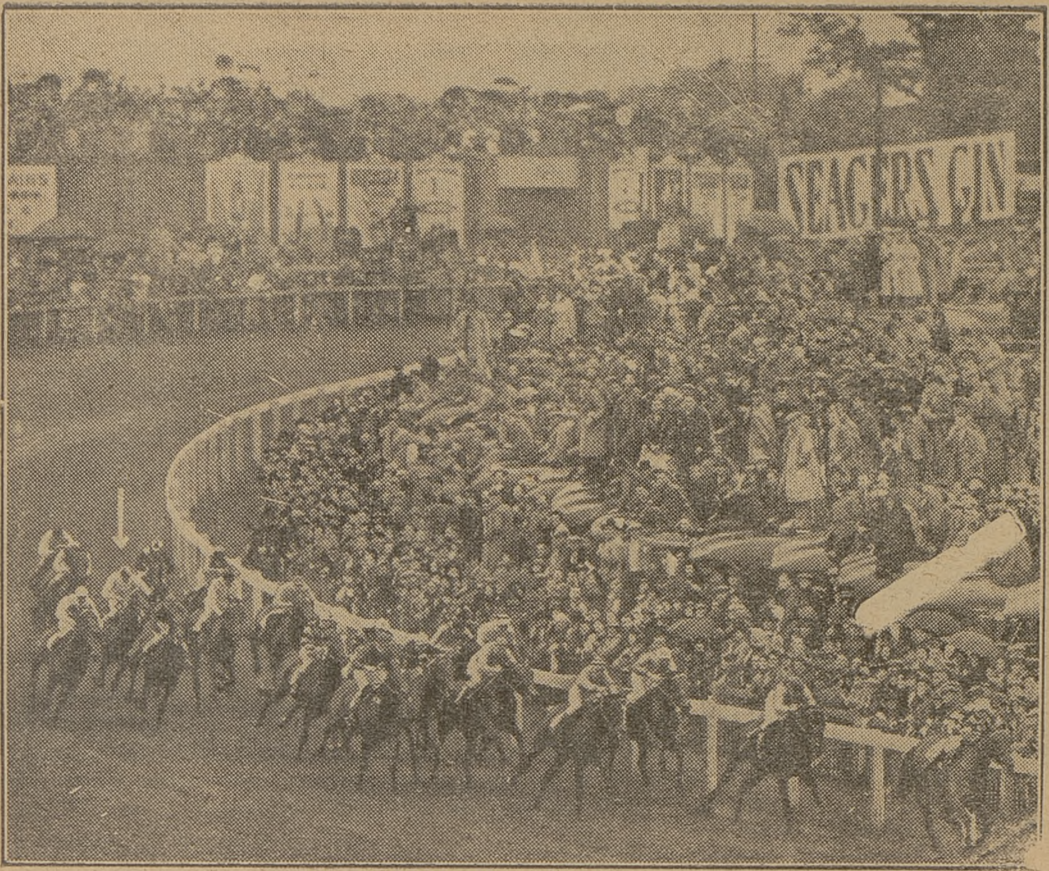
— Obawiam się, że będziemy musieli na jakiś czas przerwać robotę — zauważyła Anna z westchnieniem.

— Mówiłem to samo szefowi, że na parę miesięcy trzeba będzie zaprzestać, tym bardziej, że paru naszych chłopców zostało schwytanych przy robocie.

Anna zbladła.

— Czy to rzeczywiście prawda?! — spytała drżącym głosem.

— Może żartuję! — oburknął gniewnie.



Słynne wyścigi w Epsom (Anglia), w których zwyciężył Bois Russel.

— Proszę powiedzieć Tessie i Sali, żeby przyszły do mnie jutro.

— O zwykłej porze?

— Nie... Sala niech przyjdzie o 17-ej, a Tessa o 21-ej.

— Czy nie za wcześnie?

— Nie... lepiej wcześniej niż później. Godziny popołudniowe mniej się rzucają w oczy.

Zamknęła za nim drzwi i wróciła do saloniku, ale cała jej radosna beztroska zniknęła z duszy.

Jak dotąd nikt jej nie podejrzewał, nawet Leon. Chroniła ją przyjaźń ze starościną i stanowisko męża i jego nieposzlakowana opinia, ale kto jej zaręczy na przyszłość. Chwilowo wyrzeknie się wszelkiego współudziału w tym kolportażu. Mińsk musi to zrozumieć. Pieniądze pieniędzmi, idea ideą, ale życie również coś znaczy.

Podeszła do biureczka, z pliki gazet wyjęła jedną i czerwono-niebieskim ołówkiem podkreślała w niej to tu to tam litery, wyrazy, znaki pisarskie.

— Odeślę to jutro przez Salę — mruknęła do siebie.

* *
*

Urodziny pani starościny obchodzone były uroczyście i hucznie. Od samego rana napływały bukiety kwiatów, przychodziły delegacje od różnych stowarzyszeń, związków do których z urzędu musiał należeć.

Podejmowała śniadaniem burmistrza, radców magistrackich, komisarza policji, dowódcę garnizonu, słowem dygnitarzy miejscowych. Po południu zaprosiła na herbatkę żony urzędników starostwa, prezesowe i sekretarki „Rodzin" i Kół. Wieczór zarezerwowała dla najściślejszego kółka znajomych, do których zaliczona była Anna i Leon.

Anna wyglądała czarująco w szarej jedwabnej sukni, świetnie skrojonej i dopasowanej.

Oryginalny naszyjnik z ametystu w w kształcie kuli oprawnej w złoto i brylanty ożywiał tę suknię. Ręce jej zdobiły bransolety: na prawej złoty zegarek na złotym łańcuchu na lewej cienki platynowy łańcuszek wysadzany brylantami w spojeniach. Pogodna, uśmiechnięta witała się uprzejmie, a nawet przymilnie z gośćmi. Wandzie uścisnęła rękę serdecznie, na Leona popatrzyła z wyrzutem w jasnych oczach i powiedziała z wymówką:

— Tak dawno cię nie widziałam... myślałam że opuściłeś już nasze strony.

— Jeszcze na razie nie... odpowiedział, całując ją w rękę.

Przy kolacji siedział między panią domu a Anną, mając naprzeciw Wandę, która, udając ożywioną rozmowę z sąsiadem, śledziła każdy ruch Leona, chwytała każde jego spojrzenie rzucone Annie.

A on jakby się uwziął na nią. Poświęcił całą swoją uwagę Annie nie odrywając z niej oczu.

Po kolacji tańczono przy dźwiękach gramofonu, który nakręcał doktór. Nie grał w karty, nie tańczył, zabawiał się więc nakładaniem płyt i kręceniem korby.

Leon przetańczywszy z Haliną tango i walca poprosił Annę do fokstrota. Przygarnął ją mocno do siebie i wyczyniał razem z nią artystycznie choreograficzne sztuki pod takt murzyńskiej muzyki płynącej z płyt.

Wanda wodziła za nimi posępnymi oczami, nietyle zgorszona, ile rozżalona.

— Służę pani — drgnęła gwałtownie. Nie zauważyła kiedy zakończył się taniec i nowa płyta wzywała znów do tanga. W swym rozżaleniu chciała odmówić Leonowi, ale bała się zwrócić tym na siebie uwagę.

I ją przyciągnął do siebie blisko, opasał silnie ramieniem. Tak jej było dobrze w jego ramionach, ach jak dobrze!

— Niech mi pani ufa... dobiegł ją szept.

— Nie rozumiem — odpowiedziała wyniośle.

— Zrozumie pani wkrótce...

Milczała, patrząc na salę, chcąc pokryć wzruszenie obojętnością sztuczną.

— Proszę spojrzeć mi w oczy.

Zajrzał jej w źrenice mocnym nakazującym wzrokiem. Poczerwieniała i spuściła powieki.

— Już dobrze — szepnął z zadowoleniem.

* *
*

O godzinie dwudziestej trzeciej Anna wstała. — Muszę uciekać — usprawiedliwiała się Halinie. Józek przyjeżdża pociągiem o dwunastej z minutami. Przykro by mu było, gdyby mnie nie zastał w domu.

— Idę z tobą — oświadczył Leon, który stanął przy niej.

— Nie... dziękuję — zaprotestowała — pójdę sama: Przecież to tak blisko. Za pięć minut będę w domu.

Nie odpowiedział nic, tylko nałożył palto.

Widać było po Annie niezadowolenie z jego uprzejmości.

— Nie chciałam, żebyś ze mną szedł. Powstaną niepotrzebne plotki. Józik i bez tego jest o ciebie trochę zazdrosny.

— Wyszedłem z tobą, bo chcę cię o coś zapytać...

Zaniepokoiła się. — O co ci chodzi — dopytywała się.

— Powiem ci w domu.

Anna milczeniem pokrywała zdenerwowanie.

Otworzywszy drzwi wpuściła go niechętnie do przedpokoju i zaprowadziła do salonu.

— Mów — zwróciła się do Leona siadając w niedbałej pozie na kanapie z miną znudzoną i urażoną.

Podszedł do niej i wyciągnął dłoń:

— Oddaj mi proszę naszyjnik matki, który masz na sobie. Był to ulubiony jej klejnot. Jak wiesz nosiła go prawie stale. Otrzymała go po moim urodzeniu się od męża jako prezent za syna. Stepanow zerwał go z jej szyi, by tobie ofiarować.

Pobladła, oczy jej zamigotały złością. Milcząc zdjęła ametyst z szyi i podała mu go.

Nie odchodził.

— Oddaj mi również i tę bransoletkę bo i ona jest darem ojca, zagrabionym przez twego pierwszego męża, możliwie na twoje nawet żądanie.

— Czy już wszystko? — zapytała z ironicznym skrzywieniem warg.

— Nie, to jeszcze nie wszystko, co miałem ci powiedzieć. Dziś wszyscy twoi agenci zostali aresztowani z ulotkami i broszurami, które roznosili. Za parę minut spotka cię to samo.

Zerwała się z miejsca pobladła, drżąca.

— To kłamstwo! Jestem niewinna! Nie rozumiem, o co mnie posądzasz — głos jej rwał się i łamał w gardle.

(Dokończenie nastąpi.)

MAX DU VEUZIT

10)

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO
IRENY MACIEJEWSKIEJ

— Doskonale! Jakiś cel dobroczynny, który przybrałby szumną nazwę: „fundacja Janusza de Saumarte". Potem nie byłoby nawet już wspomnienia i ofiarodawcy, ponieważ dzieło dobroczynne składa się z ludzi, żerujących na nim i myślących tylko o własnych interesach, bynajmniej nie troszczących się ani o fundatora, ani o fundację.

— Przyniosłoby to jednak korzyść wielu innym, a nietylko mnie.

— Janusz de Saumarte nie dbał o użyteczność swego testamentu! Wszak powiedziałem już pani, iż działał tylko przez egoizm.

— Ależ nie rozumiem...

— Jakto, czyż pani nie zdaje sobie sprawy z tego, iż obdarowując panią wszystkim co posiadał, zmusza panią do myślenia, do mówienia o nim. Choćby nawet pani nie wiem jak chciała, nie będzie pani mogła pani zapomnieć o nim; będzie pani sądziła, iż portret Janusza winien wisieć w jej salonie, a może nawet w sypialni. Będzie pani mówiła o nim, gdy tylko ktoś zacznie zachwycać się pięknym położeniem Belle Vue. Dzieci pani nauczą się bardzo prędko wymawiać jego imię, a prawnuki jeszcze będą wspominać dobroczyńcę, który ofiarował taki miły prezent ślubny ich babce. Widzi więc pani, iż przez całe pokolenia Janusz de Saumarte będzie wyobrażeniem dobrego ducha, wspierającego biedne dziewczynki bez posagu. A nawet, kto wie, może za kilkaset lat stworzy się legenda dookoła jego imienia, może się będzie opowiadać w baśniach o automacie, który, nie myśląc na pozór o niczem, gromadził fantastyczne skarby, by obdarzać nimi piękne kobiety.

Mówił to tak wesoło, głosem żartobliwym i jednocześnie pełnym słodyczy, iż wywołał uśmiech na me wargi.

— A zatem, według pana, testament był podyktowany tylko przez egoizm?

Spojrzałam na niego: przymrużył trochę oczy, słysząc to pytanie, odpowiedział jednak twierdząco:

— Z pewnością, tylko przez egoizm!

Wzrok mój skierował się ku alejom parku, szukając ławeczki, na której tak często siadywaliśmy z Januszem. Przypomniałam sobie jego porywy złości, groźby samobójstwa, wreszcie ukorzenie przed moją wolą, wymagającą od niego zaniechania myśli o śmierci...

Wstrząsnęłam głową w zamyśleniu:

— Nie, Janusz de Saumarte nie działał przez egoizm! Wiem dobrze, iż myślał tylko o mnie, o mojej przyszłości, chciał mi zapewnić byt i niezależność.

Nie zdając sobie z tego sprawy, wymówiłam te słowa półgłosem i oto widzę ciepłe spojrzenie mego towarzysza, wpatrzonego we mnie.

Zadrżałam wewnętrznie, gorący rumieniec oblał mi policzki. Dlaczego ten obcy człowiek patrzy na mnie takim wzrokiem?



Muzyka z wysp hawaj-.skich.

— Niech pani nie ogląda się już wstecz, dobrze? Przyszłość da pani piękne dni szczęścia, miłego męża i ładne dzieci. A to jest więcej warte niż wszystkie wspomnienia dalekiej przeszłości.

— Miłego męża, mruknęłam. Piotra Desormiers?

Mimo, iż wyszeptałam tylko to nazwisko, napełniające mnie zgrozą, towarzysz mój dosłyszał je.

— Czy pani zależy na tym, aby Desormiers właśnie był człowiekiem przeznaczonym pani przez los?

Nie chciałabym wydać się próżną, mówiąc o tym, iż zauważyłam jakby chmurę na czole młodego człowieka na dźwięk imienia faworyta mej babki.

Miałam w każdym razie pewność, iż dosłyszałam w jego głosie wzburzenie i, nie wiedząc dlaczego, wywołało to we mnie radość; odrzekłam żywo, iż Piotr Desormies napawał mnie lękiem i, że zgroza ogarniała mnie na myśl o tym, że on mógł być moim przeznaczeniem.

Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęłam po trochu zwierzać się. Jedno słowo przyciąga drugie. Nie wiedząc o tym, odsłaniałam całą duszę przed przyjacielem Blanki. On jednak zdawał się przywiązywać wagę tylko do odpowiedzi i na jego pytania.

Zadawał je subtelnie, prawie niedbale, gdy jednak wieczorem, po powrocie do Presec, przypominałam sobie naszą rozmowę, spostrzegłam, iż zapoznałam go ze wszystkimi szczegółami mego życia.

Wprawdzie Blanka dużo mu mówiła o mnie. Zauważyłam, iż zna on dokładnie charakter mej babki; znał jej skąpstwo i wiedział, że odgrywam przy niej rolę biednej krewnej, przygarniętej z litości.

Nie miałam zatem wiele trudu, by uzupełnić jego wiadomości; opowiadałam mu naiwnie o wszystkim, sądząc, że nie potrzebuję nic ukrywać przed człowiekiem, który tak dużo wie o mnie.

Dodam nawet, iż byłam zadowolona, że Blanka zapoznała go dokładnie z moim smutnym położeniem materialnym, z upakarzającą rolą, jaką odgrywałam w Presec. Powiedziała mu całą prawdę w przekonaniu, że czyni właściwie. Ja zaś nie miałam nic do dodania, ani do ujęcia; nie uważałam zwłaszcza za potrzebne upiększać prawdy lub jej zmieniać w tym jedynie celu, by się mniej rumienić...

Uczułam znowu w mym sercu przypływ wdzięczności dla Blanki, która tak dobrze mię rozumiała i była pełna delikatności.

Należało tylko jeszcze przekonać się, czy obcy młodzieniec był skłonny, jak zapewniała mnie Blanka, powziąć głębsze uczucie dla skromnej sieroty jaką byłam.

Spojrzenie w lustro powiedziało mi, iż „jestem z tych, o których nic się nie mówi"! Nieciekawa powierzchowność, upodabniająca mnie do tysiąca innych młodych dziewcząt, uposażonych jednak lepiej ode mnie pod innymi względami.

Poza tym zachowanie Róży względem młodego człowieka... które mimo woli podpatrzyłam. Oczywiście, siostrzenica służącej była bardziej pociągająca ode mnie. Miała wdzięk paryżanki, którego mi brakowało, miała miłą urodę, żywość charakteru, wesołość — zalety cenione przez mężczyzn.

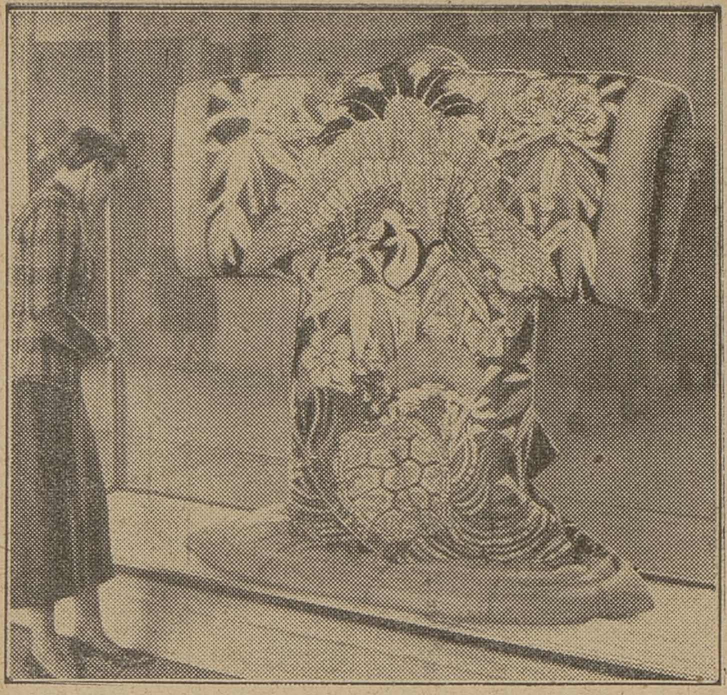
Westchnęłam ciężko.

Nie byłam, naturalnie, zazdrosna o Różę, zdawałam sobie jednak sprawę, iż miałam mało szans, by podobać się młodemu człowiekowi. Gość, przebywający w Belle Vue, był uprzejmy dla mnie, ponieważ obowiązywał go do tego pobyt w pałacu. Poświęcił nawet na chwilę Róże dla mnie; była to jednak tylko kwestia taktu dobrze wychowanego młodzieńca, który musiał z obowiązku grzeczności zajmować się raczej panią domu, niż krewną służącej.

Byłam pewna, iż po mym odejściu, młody człowiek, spełniwszy nakaz „savoir vivre'u", odetchnął z ulgą i udał się na poszukiwanie wesołej dziewczyny, z którą mógł swobodnie śmiać się i bawić.

Wniosek, wyprowadzony z moich długich rozważań, zasmucił mnie bardzo... przez próżność kobiecą oczywiście! A może jednak myśli, podniecone słowami Blanki, roiły bezwolnie, poza moją świadomością jakieś piękne sny, które, jak to czułam teraz, musiały pozostać niespełnione.

* * *



To nie kimono japońskie, tylko kołdra do spania, używana w Japonii.

Czyż znowu zaszła jakaś zmiana w mym życiu? Czy dowiedziałam się czegoś przykrego lub miłego? Stawiając sobie te pytania, musiałam stwierdzić, iż nie stało się nic takiego, coby mogło usprawiedliwić moje wewnętrzne wzburzenie.

Po niespokojnej, pełnej bolesnych wspomnień nocy, nadeszły dwa dni podobne w swej beznadziejnej rozpaczy, do strasznych godzin przeżytych po liście Blanki, zwiastującym nieuleczalne obłąkanie Janusza.

Nie mogę jeszcze teraz zdać sobie sprawy z tego, dlaczego w ciągu czterdziestu ośmiu godzin siedziałam zamknięta w swym pokoju, pogrążona w gorzkich rozmyślaniach, poddając się bezwolnie chorobliwemu zniechęceniu.

Wszystko ma jednak swój kres; na trzeci dzień musiałam opuścić pokój, by udać się na rozkaz babki do jednego z jej farmerów w sprawie zaniedbywanych przez niego winnic.

Zgodziłam się chętnie na tą przechadzkę, zadowolona prawie z pretekstu do wyjścia, ciesząc się jednocześnie w duchu, iż uniemożliwia mi to udanie się do Belle Vue.

Zaledwie uszłam kilkaset metrów od Presec, gdy spostrzegłam nagle o kilka kroków przed sobą, męską sylwetkę.

Czułam, iż się rumienię. Był to Jan Salvin, gość z Belle Vue.

Bez wahania zbliżył się do mnie:

— Jakiż szczęśliwy przypadek: mam honor i przyjemność powitać panią, panno Sabino.

Podałam mu rękę, którą przytrzymał w długim uścisku.

— Oczekiwałem panią na próżno w Belle Vue. Sądziłem, iż przychodzi pani tam co dzień?

— Niezawsze, odrzekłam, zażenowana wymówką w jego głosie.

— Czy miała pani jakieś przeszkody ku temu w tych dniach?

— Nie.

— A zatem?

Milczałam, nie mając odwagi przyznać się do dziwnego nastroju, oddalającego mnie od Belle Vue.

— Czyż miałbym nieszczęście nie podobać się pani kilka dni temu, stając się tym samym powodem zaniechania jej wizyt w Belle Vue?

— Ależ nic podobnego! zaprotestowałam. Nie przychodziłam, ponieważ czułam się bardzo zmęczoną, niezdolną do najmniejszego wysiłku, nawet do krótkiego spaceru.

— Tak, odparł nieco zimno, moja obecność tam nie warta była jakiegokolwiek wysiłku z pani strony.

Rumieniec zmieszania oblał mi twarz. Nie zdobyłam się nawet na odruch protestu wobec tego śmiałego powiedzenia. Zachowanie moje wydało mi się nagle śmieszne i niestosowne. Opuściłam pokornie oczy.

Przeszliśmy w milczeniu kilka kroków. Nagle towarzysz mój, jakby pragnąc przerwać przymus, dzielący nas, wziął mnie pod rękę, przyciągając do siebie.

— Chodźmy przez las, wszak pani idzie do Belle Vue?

— Nie. Idę na drugi koniec Collonges.

— Gdybym więc nie znalazł się przypadkiem na pani drodze, nie ujrzałbym pani i dziś jeszcze.

Odpowiedziało mu moje milczenie.

— Czy wie pani, ciągnął dalej wesoło, że nudno mi trochę w Belle Vue, gdy jestem sam.

— Blanka pisała mi, iż przyjechał pan na odpoczynek.

— Oczywiście, nie można jednak ustawicznie odpoczywać w absolutnej samotności i ascetycznym milczeniu. Nie mam nawet z kim porozmawiać w Belle Vue.

— Przecież jest Róża, rzekłam mimo woli.

— Róża?

Zatrzymał się raptem zdumiony i, nie puszczając mego ramienia, zwrócił mnie gwałtownie ku sobie w ten sposób, by móc spojrzeć mi w oczy i odczytać wyraz twarzy.

— Róża! powtórzył półgłosem.

W głosie jego dało się słyszeć tyle szczerego zdumienia, iż uczułam się nagle niewymownie zmartwioną niebacznym wymówieniem imienia siostrzenicy Anniki.

— Naturalnie, że jest Róża, usiłowałam mu wytłumaczyć. Ona zna Paryż, bywała często na koncertach, w teatrach — można z nią bardzo mile rozmawiać.

— Ach, więc to dlatego pani uważała za niepotrzebne fatygować się dla mnie i dlatego, że Róża jest dla mnie odpowiednim towarzystwem, które powinno mi wystarczyć!

— To dzielna dziewczyna, wybąkałam.

— Zgadzam się z tym! To dzielna i miła dziewczynka, której wesołego świergotu będę słuchał chętnie w braku czegoś lepszego. A pani, zastawszy mnie na pogawędce z tym ćwierkającym wróbelkiem paryskim, zdecydowała od razu, że nie wart jestem czegoś lepszego i że powinienem zadowolić się wiecznym sam na sam, z tym urwisem.

— Ależ ja nic nie zdecydowałam. Pan przecież może...

— Mogę znaleźć sobie coś lepszego, naturalnie! Dziękuję pani bardzo za łaskawe pozwolenie szukania czegoś innego... Co zresztą już uczyniłem, gdyż straciwszy cierpliwość po daremnym oczekiwaniu pani przez cały dzień onegdaj w Belle Vue, zacząłem krążyć wokół domostwa jednej z okolicznych księżniczek.

— Wczoraj pan...

— Czekałam przeszło pięć godzin, w pobliżu drzwi Presec, tak!

— Presec? szepnęłam przerażona.

— Niestety tak. Chodziłem z początku wzdłuż i wszerz; wreszcie zabrałem się do czytania książki; niezbyt jednak dokładnie wiedziałem, co się w niej mieści, nie traciłem bowiem z oczu drzwi, w których moja księżniczka miała się ukazać mym zniecierpliwionym oczom.

— Czekał pan na mnie? spytałam zmieszana.

— O z wielką wytrwałością! Okazuje się jednak, iż nie mam w sobie nic z królewicza z bajki, bowiem moja księżniczka pozwoliła czekać mi nadaremnie, nie troszcząc się o mnie więcej niż o pierwszego lepszego przybłędę.

— Nie mogłam przecież wiedzieć, iż pan mnie oczekuje!

— A gdyby pani wiedziała o mej obecności, przyszłaby pani?

— Z pewnością!

— Nareszcie, pierwsze uprzejme słowo, które mi pani powiedziała od godziny.



Drwale w Sydney (Australia) przeprowadzili ostatnio konkurs w szybkości rąbania drzewa.

— O protestuję! Nie odważyłabym się powiedzieć panu coś przykrego.

— Jestem przekonany o tym! Wyrok, skazujący mnie na spędzenie dwóch dni w towarzystwie Róży, miał tylko na względzie moje dobro i moją przyjemność.

Było to powiedziane tak zabawnie, iż nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Ten młodzieniec był bardzo dowcipny! Wszystko co mówił, obracał w żart, nie mogłam się więc o nic obrazić.

Stwarzając ten żartobliwy nastrój, nie zadowolił się trzymaniem mnie pod ramię, uwięziwszy ponadto mą rękę w swej dłoni. Próbowałam, bez wielkiego zapału co prawda, uwolnić me palce z tego uścisku; on jednak, jakgdyby pragnąc mocniej zaznaczyć swe prawa własności, położył drugą rękę na mej dłoni, zmuszając ją do bezwolnego pozostania w tym więzieniu z jego palców.

— Rzeczywiście! odrzekłam zachwycona jego znajomością topografii okolicy.

— Proszę prędko powrócić, czekam na panią.

— Może się pan zniecierpliwić!

— Ależ nic podobnego.

— Owszem! Będę może zmuszona pozostać tam dłużej, lub też udać się do winnic, jeśli nie zastanę farmera w domu. O tej porze ludzie pracują zazwyczaj przy szczepach winnych.

— Przedłużyłoby to o wiele pani pobyt?

— Podwójnie! I byłoby mi bardzo przykro na myśl, iż pan mnie tu oczekuje niecierpliwiąc się.

— A gdybym poszedł z panią, byłby to miły spacer.

— O nie!

— Jakiż okrzyk zgrozy! rzucił z goryczą. Twarz jego stężała w lodowatym wyrazie.

Podniósł do ust mą rękę i trzymał ją długo w swych dłoniach. Potem rozstaliśmy się, nie mówiąc więcej ani słowa.

Byłam już daleko, a czułam wciąż jeszcze jego wzrok utkwiony w mych oczach. Drżąc z wewnętrznego wzruszenia, rzuciłam ku niebu bolesne wołanie:

— O Boże, Boże! Dlaczego postawiłeś go na mej drodze!

* * *

Nazajutrz wstałam o świcie, by wyruszyć do Belle Vue.

W połowie drogi spotkałam mego gościa, idącego naprzeciw mnie.

Spędziliśmy czarujący dzień. On nie przestawał zajmować się mną, uprzedzając najmniejsze życzenia, asystując mi z jakąś tkliwą powagą, napełniającą mnie słodkim wzruszeniem.

Już 3 lipca rozpoczynamy

druk trzech nowych przepięknych powieści: A więc rewelacyjną pod względem treści i formy powieść francuskiego pisarza Goffin'a w przekładzie autoryzowanym niezwykle utalentowanej p. Ireny Maciejewskiej. Powieść ta traktuje o tragicznych dziejach młodej i ogromnie oddanej sobie pary cesarskiej Karoliny i Maksymiliana w ich niespokojnym, wybuchowym cesarstwie — Meksyku. A nosi tytuł **„KAROLINA— CESARZOWA MEKSYKU."**

Druga, to **„TAJEMNICA INŻ. SOMMERSONNE'A"** Bohdana Lekszyckiego. Powieść na wskroś sensacyjna, owiana ponurym geniuszem strasznego inżyniera i jasną, fenomenalną wręcz intuicją detektywa Sławicza.

Zaś trzecia, p. t. **„POD OBUCHEM POSĄDZENIA"** Marii Reutt, jest emocjonującym dramatem, splątanym wątkiem ludzkich dziejów, który — acz zrazu ciężki i tragiczny — przechodzi przy końcu w łagodny „happy end."

To poufałe zbliżenie, paraliżowało mi ramię, rozlewając jakąś dziwną omdlałość w całym mym ciele, drżącym od nieznanego dotychczas wzruszenia.

Doszliśmy w ten sposób do skraju lasu.

— W którą stronę udaje się pani? zapytał mnie.

— Na drugi koniec wioski, do Jeannemond.

— Jeannemond? powtórzył, jakby usiłując zorientować się.

Był on jednak tak niedawno w tej okolicy, iż nazwisko wieśniaka musiało mu być zupełnie nieznane.

— Nie zna ich pan z całą pewnością. Jeannemond to starzy farmerzy mej babki, dzielni ludzie, którzy w tym roku jednak zaniedbali się trochę w pracy. Babka posyła mnie zatem do nich jako zwiastuna kary, lub conajmniej jako wyraziciela jej najwyższego niezadowolenia.

— Czarujące posłannictwo!

— Babka ma dla mnie duży zapas takich przyjemności!

— Weszło to już w zwyczaj?

Uśmiechał się, lecz czułam, iż zastanawia się nad czymś.

— Dojdzie pani tam za dwadzieścia minut. Może więc pani być już z powrotem za godzinę.

— Obawiam się, iż zajmie mi to więcej czasu.

— Dlaczego? Jeannemond'owie nie mieszkają zbyt daleko.

— Zna pan tak dobrze Jeannemond'ów i ich zagrodę?

— Nie, nie znam ich, lecz orientuję się: ostatnia farma na lewo, w pobliżu traktu.

— Świat jest złośliwy, usiłowałam mu wytłumaczyć.

Porywczo podał mi rękę na pożegnanie:

— A więc do jutra! O ile znowu nie zabraknie pani odwagi do zaszczycenia mnie swymi odwiedzinami.

Patrzył w dal, nie chcąc zauważyć mych zasmuconych oczu, wzniesionych ku niemu.

— Uczynię wszystko co w mej mocy, by przyjść jutro do Belle Vue, rzekłam.

— Czy przewiduje pani jakieś przeszkody?

— Nie. Jakkolwiek z moją babką nie można nic wiedzieć.

— Czy nie może pani choć raz jeden, ominąć jej rozkazów?

— Chyba, wychodząc z domu wczesnym rankiem, zanim się obudzi.

— Ale to za wielkie poświęcenie, by wstać tak wcześnie?

— Nie, to tylko brak posłuszeństwa dla mej babki.

— Czego pani nigdy nie uczyni?

— Co uczynię jutro, by sprawić panu przyjemność.

Wzrok jego raczył się skierować ku mym oczom:

— Powiedziała pani, by sprawić mi przyjemność.

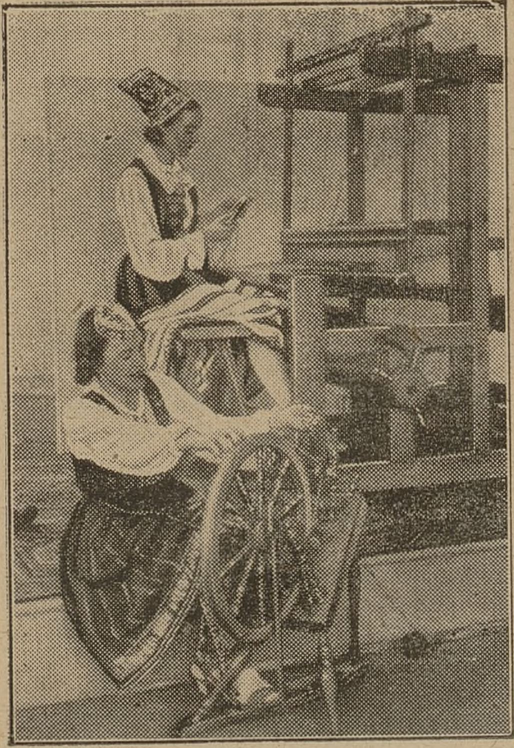
— Powtarzam to, odparłam, rumieniąc się po uszy.

Próbowałam wytrzymać spojrzenie jego rozbłysłych nagle oczu, zagłębiających się w moich źrenicach aż do dna duszy. Opuściłam jednak powieki, zmieszana nakazującym wzrokiem mężczyzny.

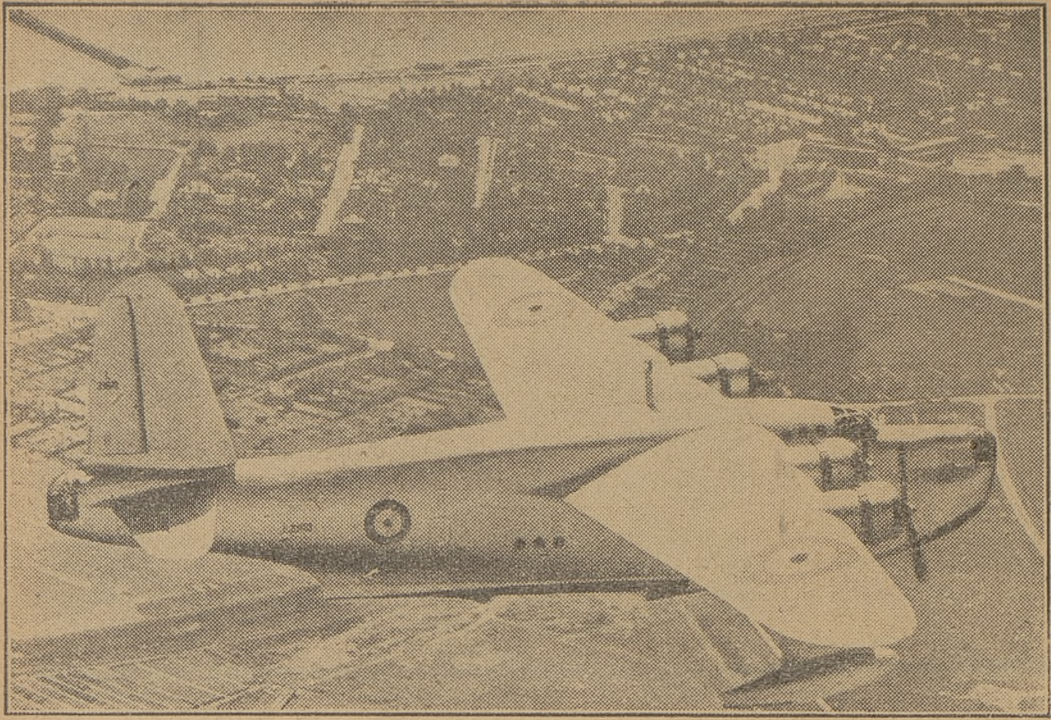
— Do jutra, by sprawić mi przyjemność, powtórzył.

Tak upłynął cały tydzień. Mój towarzysz, rozstając się ze mną, mówił co wieczór: „Do jutra"; ujarzmiona jego wzrokiem, nie będąc w stanie oprzeć się nakazowi spojrzenia, zagłębiającego się w mych oczach, odpowiadałam szczęśliwa iż mogę mu być posłuszną: „Do jutra!"

Zażyłość nasza wzrastała z biegiem wspólnie spędzanych dni.



Prządki.



Najnowszy angielski samolot bombardujący w locie.

Moje pierwotne onieśmielenie opuściło mnie. Stałam się swobodna i wesoła, opowiadając ze śmiechem o drobnych wydarzeniach mego dzieciństwa, żartując z przykrości zaznanych przez ubogą sierotę, drwiąc z naiwnych złudzeń, przyznając się nawet do buntowniczych myśli przeciw chciwej babce.

Słuchał mnie rozbawiony, wypytując o najdrobniejsze szczegóły, wprawiające go w wesołość; zauważyłam jednak, iż mówił bardzo mało o sobie i o swej przeszłości. Gdy kiedyś ośmieliłam się go o to zapytać odpowiedział wymijająco:

— Studia, wciąż studia. Życie młodego człowieka składa się obecnie wyłącznie ze studiów.

Widząc, iż nie chce mówić o tym, nie nalegałam więcej.

Jedno tylko zdawało się nas dzielić: moje przywiązanie do jedynego przyjaciela w życiu, do biednego Janusza de Saumarte.

Nie mógł zrozumieć, iż pozostawałam wierna wspomnieniu tego monstrum człowieczego, który „szczęśliwie zniknął z mego życia." Nie lubił, gdy zaczynałam mówić o automacie, gdy myśli moje biegły ku Januszowi, wyrywając mi ciężkie westchnienie z piersi — widziałam wtedy błysk niezadowolenia w oczach mego towarzysza.

Zaczynał nagle drwić z mojej duchowej wierności dla kaleki, czyniąc przykrym głosem złośliwe uwagi.

Nie chcąc narażać się na jego szyderstwa, unikałam rozmowy o dawnym właścicielu Belle Vue. Zjadliwe krytykowanie mego nieszczęśliwego przyjaciela sprawiało mi niewymowną przykrość, niemniej jednak przykro było mi rozdrażniać mego nowego towarzysza.

Jedynie Blanka nie podlegała jego ironii. Mogłam wspominać moją przyjaciółkę, opowiadać o niej wszystko, co mi się tylko podobało. Jan Salvin nie czuł się tym nigdy urażony. Przeciwnie, śpiewał wraz ze mną hymny pochwalne na jej cześć, korzystając z każdej okazji, by podnosić zalety Blanki.

Upłynęło już przeszło dwa tygodnie od chwili, gdy poznałam młodego człowieka. Odbywaliśmy wspólnie długie przechadzki, udając się często do lasu lub na wieś. Nieraz zabierał Różę i mnie na dalekie wycieczki autem do pobliskich miejscowości.

Były to piękne dni w mym życiu. Róża starała się być uprzejmą i wesołą, uprzedzająco grzeczną, delikatną, i dyskretną, pozostawiała nas zawsze samych, ilekroć mój towarzysz zdawał się pragnąć tego.

To, zakrawające nieco na spisek, zachowanie Róży, żenowało mnie trochę z początku; spostrzegłam jednak wkrótce, iż jakkolwiek Jan Salvin przebywał chętnie sam na sam ze mną, pozostawał zawsze niezwykle poprawny.

Jedyny poufały gest, na który sobie pozwalał, było ujęcie mnie pod rękę, gdyśmy szli obok siebie.

Czasem obejmował me ramiona opiekuńczym gestem, lecz słowa i zachowanie jego były przytem tak bez zarzutu, iż nie mogłam się obrażać za ten swobodny trochę ruch.

Parę razy, opuszczając ramię wzdłuż mych pleców, obejmował mnie w pół, usiłując przyciągnąć ku sobie. Wystarczyło jednak wyswobodzić mi się łagodnie z tego uścisku, z rumieńcem na twarzy, by nie nalegał więcej. Szliśmy dalej, nie przerywając rozmowy, jakby nic między nami nie zaszło.

Jakkolwiek żadne ważkie słowo nie padło między mną, a Janem Salvin, uważałam, iż przeżywamy oboje przygodę, która, według mnie, mogła się skończyć tylko małżeństwem. Przyjmowałam od niego różne grzeczności i uprzejmości, na co nie pozwoliłabym sobie z nikim innym. Uważałam również za zupełnie normalne, iż młody człowiek nie zajmuje się żadną inną kobietą, zachowując wyłącznie dla mnie nie tylko wszystkie swe starania, lecz również i myśli.

Sądziłam, iż jestem absolutnie „jego"; czyż nie było naturalnym, iż przypuszczałam, że on również jest całkowicie „mój?"

Jakież więc było moje wzburzenie owego poranka!

Poprzedniego wieczora padał ulewny deszcz, zdecydowałam się więc na przenocowanie w Belle Vue.

Po spożyciu śniadania w towarzystwie Róży i Jana, udałam się do mego pokoju na piętrze, by dokonać toalety.

Wkrótce potem zeszłam na dół i, nie znajdując ich w salonie, skierowałam się ku bibliotece, będącej zarazem palarnią i czytelnią. Szłam tam bez żadnej złej myśli, na progu jednak stanęłam jak wryta.

Jan Salvin trzymał Różę w pół i właśnie w tej chwili, gdy wchodziłam, pochylał głowę nad twarzą młodej dziewczyny, wspartej o jego ramię.

Zdławiłam krzyk rozpaczy i bólu!

Złożywszy usta na czole Róży, Jan pocałował ją spokojnie, bez najmniejszego sprzeciwu ze strony dziewczyny.

Ogarnął mnie niewymowny wstyd, zmieszana rzuciłam się w tył. Poczem, jak zraniona sarna, na wpół przytomna, uciekłam do swego pokoju.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim zdałam sobie sprawę z tego co zaszło. Ujrzana scena doprowadzała mnie nieomal do szaleństwa.

Jan zalecał się do Róży! Zabiegał również o jej względy! Całował ją, a ona przyjmowała jego pocałunki...

Nie wiem jak mój biedny umysł mógł wytrzymać podobny cios! Jęczałam, tarzając się po łóżku, gryząc poduszki, by stłumić skargi.

Jan kochał Różę! A ja, w swej głupocie, sądziłam, iż kocha mnie!...

Duma była mi wielką pomocą w tym nieszczęściu.

Gdy się porządnie wypłakałam, wyżaliłam, podniosłam się nagle uspokojona. Zmyłam zimną wodą ślady łez na mej twarzy, poczem z nieruchomymi oczami lecz z wysoko podniesioną głową, opuściłam Belle Vue, nie widząc się z nikim.

* * *

Nie będę usiłowała odmalowywać nastroju, w jakim przeżyłam następnych pięć dni.

Szalałam dosłownie z rozpaczy!

Niewiele pozostało mi w pamięci z tych kilku dni, spędzonych w zupełnym odosobnieniu w Presec, z ustawiczną, przed oczami, wizją Róży, całowanej przez Jana Salvin.

Otrzymałam w tym czasie serdeczny list od Blanki, w którym pisała mi o głębokim wrażeniu, jakie zrobiłam na gościu w Belle Vue, co dało się łatwo zauważyć z jego entuzjastycznych listów. Pamiętam, iż odpisałam jej odwrotną pocztą, iż „musiała się mylić co do lirycznego entuzjazmu swego przyjaciela, który jedynie dlatego czuł się zachwycony Belle Vue, ponieważ przebywała tam Róża."

I, jakgdyby to zdanie nie objaśniało jej dostatecznie, dodałam jeszcze te słowa pełne żółci:

„Mam zresztą nadzieję, iż złudzenia tej dziewczyny nie zostaną rozwiane przez pana Salvin i, że zechce on uczynić z naiwnie i ufnie zakochanej, szczęśliwą, prawowierną małżonkę."

Przypominam sobie, iż z brzydką radością wysłałam tę odpowiedź do Blanki, nie odczuwając wyrzutów sumienia z powodu mej perfidnej denuncjacji.

Odosobienie, które przy ówczesnym moim nastroju, mogło się przedłużać w nieskończoność, zostało nagle przerwane ży-

(Ciąg dalszy na stronie 493.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

JAŚMINY...

Słowików spóźnione wołania
w żal zmierzchu
piosenką płyną — —
Zakwitły nam dawnym wspomnieniem
białe jaśminy...
Jaśminy kwitną w listeczkach,
na tle zielonego szmaragdu.
O nic nie pytaj już — ciszy — —
już wiem, już wszystko odgadłem!
Spójrz, oto noc malowana
księżyca blaskiem srebrzystym...
Pozdrawiam cię myślą z oddali —
ostatnim listem...
Ostatnie słowa serdeczne
ku tobie piosenką płyną...
Pamiętasz?
Pamiętasz jeszcze...
białe jaśminy?

Józef Baranowski.

DLACZEGO?

„Marzenka w Ameryce“. Droga Moja Dziecino, odpowiem Ci punktami, tak, jak Ty mi nadesłałaś pytania, bo doprawdy inaczej nie wybrnęłabym z mnóstwa pytań i życzeń, wyrażonych w tych trzech listach, które właśnie leżą przede mną na biurku.

Więc przede wszystkim dziękuję Ci za ten „made in America“ list z drukowanymi życzeniami Wielkanocnymi! Schowałam go na wieczną rzeczy pamiątkę do mojej teczki z listami specjalnymi.

2) Nie zdążyłaś już nadesłać mi na czas komunikatu dla „Jesiennego Wichru“, dlatego idzie dopiero w tej odpowiedzi.

3) W sprawie, którą kładłaś mi tak mocno na serce, odpowiem Ci trochę później. Zgodzę się, ale pod jednym warunkiem. Niech i ja raz stawię warunek, zresztą nie sądź, że będzie on ciężki!...

4) Cieszę się na obiecane zdjęcia.

5) Jeżeli będzie Ci mocno zależało na adresach Polskich Towarzystw w Ameryce, mogę Ci się o nie wystarać.

6) Owszem, znam tę bajkę, ale filmu opartego na jej wersji u nas nie wyświetlano.

7) Pamiętaj zawsze tak myśleć o ojczystym kraju i nigdy nie wyrzekaj się mowy i uczuć polskich!

8) Napisz mi, których numerów „Moich Powieści“ nie otrzymałaś. Do numeru 10 zbrakło już wkładek i tej dosłać Ci nie będę mogła.

9) Wysłany przez Ciebie dolar nadszedł do administracji naszego pisma. Prenumeratę masz opłaconą do sierpnia plus 69 gr. na wrzesień br.

10) Jeżeli stanowczo zdecydujesz się pójść po linii życzeń Twoich angielskich nauczycieli i przestaniesz czytać pisma polskie, to wstrzymam wysyłkę „Moich Powieści“ we wrześniu (po wyczerpaniu wpłaconej prenumeraty), ale równocześnie poczuję ogromny żal do Twych opiekunów i utwierdzę się w przykrym dla mnie przypuszczeniu, iż jest w tym nieubłagana i aż nazbyt wyraźna tendencja.

Pragnę bardzo, abyś zbyt lekko nie zrywała z łącznikami między sobą, a starą Ojczyzną. A właśnie jednym z najsilniejszych jest słowo drukowane.

Czyż naprawdę nie szkoda Ci będzie porzucić „Krainę“ na długo, a może na zawsze?! Namyśl się proszę i odpisz mi szybko!

„Krainiacy“ nie będą na pewno zadowoleni ani z tego, że się chcesz na czas jakiś usunąć z ich życia, ani także z zamiaru zmienienia pseudonimu.

Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego tego pragniesz?

Bardzo czekam na Twoją jasną odpowiedź! A równocześnie zapytuję, czy znalazłaś już swoje zdjęcie w „Krainie“? Czekam na dalsze! I w tym oczekiwaniu pozostaję aż do skutku!

Więc chciej pamiętać i przyjmij moje serdeczne słowa pozdrowień.

„Halo! „Jesienny Wichrze“! „Dnia 19 grudnia“ — jest list dla Pana w „Krainie“ pod tytułem „Kto zaprosi w gościnę“. W nim pozdrawia Pan „Krainiaków“ z powiatów chodzieskiego czarnkowskiego i wyrzyskiego.

Otóż ja jestem z powiatu chodzieskiego, więc też dziękuję za pozdrowienie.

Czy był Pan może w miasteczku M. uczniem szkoły 1.?

Zapraszam Pana w gościnę do nas. Czy zgoda? Chcę zobaczyć Pana nowy motocykl. Bardzo proszę o odpowiedź, czy przyjmie Pan zaproszenie i przyjedzie. Jeżeli tak, to proszę zabrać ze sobą Panią Zosię, Wujka Janusza i „Humorystkę“ — dobrze? (Panno Zosiu, czy zgoda?).

Aha! To Ty, „Jesienny Wichrze“, to Ty kołyszesz okręty i pasażerów w nich aż do choroby morskiej... I to dlatego ja byłam taka chora!... Popraw się w przyszłości!

A Ty, „Młody Orle“, zabierz ze sobą całe moje miasteczko M.

„Bursztynowe Serduszko“. Czy to Pani myśli o audycjach z Polski dla Polaków z zagranicy? Odpowiadam Pani, że Polski nie możemy tu „łapać“, jedynie w tut. miastach są nadawane audycje dla Polaków. Tych nie mogę się poprostu doczekać i słucham je pilnie, bo dręczy mnie bardzo tęsknota za krajem.

Odwzajemniam serdeczności Pani. Może napiszesz mi krótki chociaż liścik na ręce Redakcji i opiszesz nowości z Polski — dobrze?

Serdeczne pozdrowienia dla całej „Krainki“!

„NIL DESPERANDUM!“

„El-ka“. Smutny jest Pana list. Smutny i zgnębiony! Gdybym mogła pomóc Panu, niechronnie uczyniłabym to, aby tylko ująć Mu trochę powodów do odczuwania tej beznadziejności.

Czyż doprawdy jest aż tak bardzo źle? Czy nie ma Pan żadnego zajęcia stałego, które daje regularną pensję?

Proszę napisać mi o sobie dużo — skoro obdarzył mnie Pan swoim zaufaniem, to możesz przecież powiedzieć już wszystko dokładnie.

Wiem, że jest Pan zdolny i utalentowany i trudno przychodzi mi pogodzić się z bezradnością, przebijającą w całym ostatnim Pana liście. Raczej skłonna jestem przypuszczać, że była to tylko chwilowa depresja psychiczna, która szybko minęła i dziś może już o niej nie pamiętasz. Czy tak? Doprawdy wolałabym, aby tak było.

Jakby nie było, nie wolno Panu myśleć w ten sposób, nie wolno tracić energii i zapału do pracy — jest Pan jeszcze, jak sam piszesz, młody i świat możesz podbić choć na tyle, aby Ci użyczył przynajmniej kawałka wygodnego, jeżeli już nie luksusowego ze swych bogatych obszarów. Nie mówię w tym wypadku o obszarach ziemi — rozumie mnie Pan chyba?

Tylko proszę wytrwale pracować, silnie przeć naprzód i trzymać się świetnego łacińskiego hasła: „Nil desperandum!“...

Przypuszczam, że ma Pan sporo nowel — proszę nam je nadesłać do oceny i ewentualnego przedrukowania.

Pragnie Pan zostać dziennikarzem — hm... to rzeczywiście nie jest łatwe do zrealizowania, ale przy szybkiej orientacji, dużej inwencji pisarskiej i silnej woli można zdobyć wszystko.

Proszę spróbować współpracować z dziennikami i nabierać potrzebnej rutyny, a może przecież uzyska Pan stałe engagement.

Cieszyłabym się niewymownie, gdyby doniósł mi Pan, jeżeli nie szybko, to po jakimś czasie, że ustabilizowałeś się już ku własnemu zadowoleniu i radości życzliwych Panu osób, bo nie wątpię, że masz je wokoło siebie.

Jeszcze raz proszę Pana o nie poddawanie się chwilowo nieprzyjaznym losom i zasyłam przyjacielski uścisk dłoni!

NIE PRZEJMUJ SIĘ!

„Kochane Oczęta“ Niestety, nie mogłam od razu odpowiedzieć Ci, ani też umieścić Twych komunikatów — pocieszam się jednak, że jeszcze nie jest za późno.

Proszę Cię, nie przejmuj się chwilowymi przeciwnościami — na pewno znowu szybko nabierzesz werwy i śmigniesz w górę bez obawy o to, że tam u góry popalą się skrzydła. I uczynisz dobrze, bo ten tylko ptak nauczy się latać, który oprócz silnych skrzydeł ma odwagę i upór w nauce latania.

Więc weź to sobie pod rozwagę i uwierz w sens podejmowanych przez siebie wysiłków.

Posyłam Ci dobre uśmiechy i czekam na nową wiadomość o Tobie.

„Dziunku“! Pytałeś się, odpowiadam wymijająco i lakonicznie, a teraz brak mi Twej rady. Co mam zrobić, aby spotkać się z Tobą i porozmawiać? Jak nie, to zrób tak, jak Pan Twardowski, wsiądź na koguta i przyjedź z Rzymu do mnie? Nie chcę Cię zamęczać, lecz skoro wrócisz z Rzymu, napisz mi dokładnie o wszystkim. Czy praca przy tym filmie. była przyjemną i wdzięczną?

Wiesz, Władku, te ciągle jednakowo smutne oczy — te brudne oczy, już są porządnie wymyte i patrzą trochę jaśniej niż zwykle, a złote ich skry, posyłam Tobie, tam daleko, do Rzymu, aby opromieniały Twą twarz i wszystko, co Cię otacza wokoło.

Cieszysz się z tego? No, to pa!

Luteczku! Kochanie Moje — cieszycie się na mój przyjazd, ale — ale ja nie wiem, co zrobię. Nie jestem zdecydowaną mimo, że bardzo tęsknię za wszystkimi. Za pamięć ucałuj rączki P. K. ode mnie. Bądź zdrów, Mój kochany urwiszu i pozdrów Twego przyjaciela.

Jaśku! Dlaczego nie piszesz, jak jest z tą sprawą? Czy Dziunek był u Ciebie i jak się bawił w Poznaniu? Miał również załatwić coś z P. S. Prosił mnie, abym stąd wyjechała. Pozdrów wszystkich.

Januszku! Na pewno byłeś zdziwiony, że potrafiłam być obojętną? Jesteś potworem! Brzydzę się kłamstwem i Tobą! Oczyść — te kochane oczęta, w których widać całe serduszko, na pewno już nie będą dla Ciebie kochane, lecz brzydkie, wstrętne jak noc! Ale z Tobą i tak nie ma co gadać.

Widzę Twoje pobłażliwe spojrzenie, uśmiechasz się kącikami ust i mówisz: małe dziewczątko moje — ty nie wiesz, ale i noce nieraz bywają cudne, gwiaździste, piękne. P. H. nie potrzebuje mnie się bać. Jestem narwaniec, to wiem — ale dobrze wychowany. Nawet do największych wrogów moich potrafię być jak najserdeczniej usposobioną, bo zbyt mali jesteśmy, abyśmy potrafili poznać tajniki życia ludzkiego. Bądź so bądź, — jesteś brzydki!

Pani „Lorecie“ i całej „Krainie“ moc pozdrowień!“

NA PEWNO!...

„Hel“. Rzeczywiście dawno już nie pisałaś, nawet się już trochę dziwiłam — no, ale teraz jest już znowu wszystko w porządku.

Radosna jestem, że udało mi się odwrócić Twoją uwagę od niepotrzebnych przykrości.

Owszem, zadowolona jestem z życia i prawie szczęśliwa. Na pewno dużo radości zawdzięczam Waszym modlitwom — tak sądzę.

Jeżeli śledzisz „Krainkę“ już od dwóch lat, to sama już wiesz, do której i którego z „Krainiaków“ zbliżyć się serdeczniej.

Na zjazd przyjedziesz — to ładnie!

A jeszcze z jednego jestem zadowolona, mianowicie z tych dalekich wycieczek, jakie urządzasz na rowerze.

Dziękuję Ci za dobre życzenia i zasyłam słodki uśmiech!

„Halo! Pozdrawiam na łamach „Krainy“ „Czarnego Hajduczka“, „Czarnulkę ze Świecia“ i „Młodego Orła“. Może ktoś z wymienionych „Krainiaków“ napisze do mnie? A może ktoś z okolicy Grudziądza i Świecia? Odpowiedź murowana. Pozdrawiam serdecznie całą „Krainę“ i proszę bardzo o listy!“

W PODZIĘCE

„Milutka Lena“. Oj, oj — aż się przeraziłam na widok tych ogromnie groźnych zdań miłej Leni — całe szczęście, że w końcu uwolniłaś mnie od winy i kary i obdarzyłaś jednym ze swych przemiłych uśmiechów.

Otóż w podzięce za dobre serduszko wytłumaczę Ci, dlaczego nie było w owym przyobiecanym arkuszu wzorów Twego monogramu. Widzisz, Dziecino, tam z monogramami i in-

nymi życzonymi wzorami postępuje się tak samo, jak ja z Waszymi listami, to zn. muszą odczekać swojej kolejki. Czy uważasz mnie już za dostatecznie wytłumaczoną — to dobrze!

Na Targach niestety nie byłam. Postaram się za to być na przyszłorocznych.

Posyłam Ci moc dobrych uśmiechów i przechodzę do komunikatów:

„Smutna Iwonko". Jesteś, Kochanie, najmilszym dziewczątkiem pod słońcem! Zasyłam Ci, Luciu, wagon całusów.

„Echo Wsi". Odwzajemniam Twoje pozdrowienia w dwójnasób.

„Czarodziejce". Uznanie za miłe wiersze.

„Jaś Sokół". Dziękuję Panu za zainteresowanie się mą skromną osóbką, ale pierwsza nie napiszę do Pana.

„Młody Orle". Dziękuję Ci za pozdrowienia z Ustianowej i napisz obszerny list.

„Henry". Czy pamięta Pan jeszcze Lenę? To proszę skrobnąć do mnie.

Poza tym chciałabym korespondować z kimś z Pniew. Czy jest w naszej „Rodzince" ktoś taki? To proszę napisać. Znam Wasze miasteczko, bywałam tam na wakacjach u wujostwa Ż. — Dla całej „Krainki" milutkie pa".

ZMIENI SIĘ OD LIPCA

„Barcia". To, co Cię tak mocno przerażało dotąd, mianowicie przedłużone oczekiwanie odpowiedzi w „Krainie", skończy się wkrótce. Od pierwszego lipcowego numeru będzie 4 strony „Krainy", to znaczy zwiększy się o sto procent miejsce, przeznaczone do dawania odpowiedzi. Obyście tylko postarali się o odpowiednio zwiększoną liczbę sympatyków, abym mogła być i ja zadowolona!

Myślę, że poniższe zdania Twego listu będą wówczas o tyle usprawiedliwione, ile będą traktowały o Waszym zadowoleniu z mej pracy. Natomiast serdeczne wymówki przestaną być aktualne. No i oczywiście ja będę równie, jak Ty i reszta „Krainiaków", z tego zadowolona.

Całuję Cię serdecznie i przechodzę do przedrukowywania:

„Naprawdę już czas, abym o sobie kilka słów skreśliła. Myślami jestem często przy dobrej p. Zosieńce, oraz przemiłych „Krainiakach", do pisania zaś zrobił się ze mnie leń, ale na pewno poprawię się i podtrzymam na nowo dawną zażyłość z „Rodzinką".

Pani Zosieńko, jedno mię tylko przeraża, iż tak długo na kolejność odpowiedzi w „Krainie" czekać muszę, t. z. nie tylko ja sama, ale wszyscy, przez co niejedne komunikaty stają się nieaktualne. Winna temu tak liczna „Rodzinka", i tak szczere i liczne liściki, z prośbą o chociaż mały, maciupci kącik. A że „Krainka" w „Powieściach" zajmuje tylko dwie stronnice, i jeszcze się z Wujkiem Januszem dzieli, nic dziwnego, że zachodzą takie opóźnienia w odpowiedzi.

Tak samo, jak ja, i inni z utęsknieniem oczekują tych kilku balsamicznych słów skierowanych pod swoim adresem, a napisanych przez nas wszystkich ukochaną p. Zosieńkę.

Ile uciechy spływa przez takich parę słów, ujętych tak serdecznie! Chociaż byłoby się ze smutnych najsmutniejszym, mimowoli uśmiech zwycięża, radość serce rozpiera, iż tam gdzieś hen, w pałuckiej ziemi bije takie jedno przedobre serduszko, pełne zrozumienia dla niedoli ludzkiej. Na każdą bodaj najmniejszą bolączkę umie radzić, pocieszać — znać, że p. Zosieńka ma serce nieludzkiej wielkości, skoro się w nim tyle dobrego mieści.

My się również odwdzięczymy za dobre, dobrym. I to niejnaczej, jak prosząc Bozię, aby nam Drogą p. Zosienkę jak najdłużej zachował.

A teraz pozwoli Pani, że dam kilka komunikatów:

„Dumce" i „Blance" przesyłam siarczyste buziaczki. Pamiętajcie o mnie!

„Marteczko", Kochanie — wybacz, iż teraz dopiero odwzajemniam pozdrowienie. Napisz Maleńka!

„Fenia z nad jezior". Współczuję serdecznie. Wierzaj, czas ukoi wszystkie rany. Uśmiechnij się, bo śmiech, to życie. Proszę napisz — odpowiem na pewno.

„Te-Emie." Czy odgadłam Pana nazwisko Jest Pan w istocie i z nazwiska K.......m z Sz.....ł — czy tak? Znam Pana Siostrzyczki.

Poza tym przesyłam specjalne pozdrowienia i uśmiechy: „Bajce", „Marzence", „Małej Konwalijce", „Brzydkiej i smutnej Irce", „Kochaniu", „Przedwiośniu", „Starszej Pannie", jak i całej „Rodzince"!

WEDŁUG AUTOPORTRETU

„Słodka Wisieńka". Jeżeli ktoś już w tak miły i bezpośredni sposób przedstawia się, by go zaliczyć do wielkiej „Rodziny" kraińskiej, to chociażbym nawet miała jakieś zastrzeżenia, jestem bezsilna.

Ależ z największą przyjemnością przyjmuję Cię, a żeby moi „Krainiacy" wiedzieli z góry, z kim mają do czynienia, zaprezentuję Cię według Twego własnego autoportretu.

A więc uwaga „Krainiacy": „Słodka Wisieńka", nasza nowa towarzyszka, jest oryginalną platynową blondynką, o ślicznych chabrowych oczętach i ząbkach jak perełki. Figurka zgrabna. Liczy to miłe stworzenie lat... lepiej nie powiem. W każdym razie bardzo mało.

Jeżeli chodzi o jej upodobania, to naprawdę muszę stwierdzić, że „Słodka Wisienka" byłaby świetna towarzyszką dla niejednego z „Kraniaków", gdyż lubi i muzykę, i śpiew, i taniec i sport. O, właśnie sport; umie ona grać w tenis, i jak sama mówi, gra świetnie. Brawo. Jeszcze kilku takich sportowców dokompletujcie podczas projektowanego zjazdu „Krainiaków", a zorganizujemy sobie zawody sportowe.

Ale wracam do „Słodkiej Wisieńki". A więc myślę, że pragnienie Twoje, by nawiązać korespondencję na pewno spełni się.

A teraz Twoje Komunikaty:

„Halo! Zainteresował mnie Belfer — z przyjemnością spędzę wspólnie wakacje. Czy zgodzisz się? Proszę o list.

Pozdrawiam: „Samotnego Chorzów I", „Marzącego Ramona", „Rolnika", „Myśliwego", „Wytwornego włóczęgę", „Zdobywcę serc II" i „Barona Cygańskiego". Proszę o listy! odpowiedź murowana!

Całuję i ściskam: „Królową Gziellę", „Renę z Kujaw", „Czarodziejkę", „Rozśpiewaną Izabellę" i „Wymarzoną".

Piszcie do mnie Kochane! odpowiedź odwrotna!

Teczka Wujka Janusza

OJ KWITNĄ BZY...

Tak cudnie! Już słońce zachodzi złotem,
Iskrzy się, pali purpurą rubinu.
Wiosenny wietrzyk drga — leciutkim lotem
Zatacza w krąg nad wanną bzu krzewiną...
Oj kwitną, kwitną bzy,
W nich rosa jak łza drży.

Chylą się pęki bzu, rozkoszne, żywe,
W zieleni toną gamą barw tysiącznych.
Raz — jak puch śniegu, — zadrgają tęskliwie,
Raz jak ametyst, jak fiołek skromny...
Oj kwitną, kwitną bzy,
W nich rosa jak łza drży.

Z wiatru poszumem — słodyczą wezbrana,
Płynie upojna woń i w serce wnika,
Nęci, pali — jak miłość rozśpiewana
Pieśnią kochania, co z echem zanika.
Oj kwitną, kwitną bzy,
W nich rosa jak łza drży.

Falują bzy i ciche wiodą szepty,
Kłonią się ku mnie — drżąca wyciągam dłoń,
Muskam i pieszczę — a bladymi usty.
Spijam perły rosy — tulę białą skroń.
Oj kwitną, kwitną bzy,
W nich rosa jak łza drży.

Cisza... prysł czar i w oczach coś zaszkliło,
Może to rosa — alboż to moje łzy? —
Minęło wnet wszystko — wszystko się prześniło,
Trwa cień miłości — nie kwitną wonne bzy.
Oj kwitną, kwitną bzy,
W nich rosa jak łza drży.

Ludmiła Górnicka.

ŻYCIE — WALKA

Tak trudno nieraz siebie zrozumieć
Swoje rozterki i walkę z losem
Tak trudno nieraz żale zapomnieć.
I walczyć w życiu z niejednym ciosem.

A jednak, choć trudno, walczyć trzeba
I w świat iść naprzód z podniesionym czołem.
Bo to jest walka o kawałek chleba,
A walkę tę prowadzimy wszyscy społem.

Lecz gdy tę walkę przejdziem zwycięsko,
Wtedy nie czujem bólu, cierpienia —
I chętnie się wtedy poda dłoń braterską,
Która potrafi dać tyle ulżenia.

„Merle".

UŚMIAŁEM SIĘ

„Merle". Uśmiałem się trochę z tego zgodnego basu ławki, wędrowca i wichru, ale w rezultacie wierszyk dostał się na łamy „Teczki" i na pewno niejednego „Krainiaka" przekona w sensie pogodnym, że: „Dla wspomnień warto żyć!..."

Posyłam Ci przyjacielski uścisk dłoni i proszę o dalsze nadsyłanie równie pogodnych i gładkich wierszy.

WARTO ŻYĆ

Dzisiaj sama, samiuteńka
Stoisz opuszczona —
Ty ławeczko ukochana,
Przyjaciółko niestrudzona!
Dawniej tu wesoło było,
Śmiechy, figle i zabawy,
A dziś tylko wicher stary
Przypomina dawne sprawy.
Ale może w letni wieczór
Przyjdzie ktoś znużony
I usiądzie, by odpocząć —
Wędrowiec zmęczony.
I we troje wtedy razem
Snuć będziecie wspomnień nić
I powiecie zgodnym basem:
I dla wspomnień warto żyć!...

„Merle".

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Niejedno się w życiu kręci,
jak kręgi powstałe na wodzie,
dziś zachód ma to w pamięci,
co wczoraj było na wschodzie.

Co wczoraj było w tej stronie,
dzisiaj w innej być może,
niech tylko wicher zawionie
i wszystko zmieni na: gorzej!

Niejedno się w życiu kręci
i szybko kołem się toczy,
dziś przeszłość ma to w pamięci,
co wczoraj ujrzały oczy.

Co wczoraj było w tej stronie,
dzisiaj, gdzie indziej już jest,
bo to... jak wiater zawionie,
by życiu wskazać swój gest.

Niejedno się w życiu kręci,
jak kręgi powstałe na wodzie,
dziś zachód ma to w pamięci,
co wczoraj lśniło na wschodzie.

Co wczoraj było w tej stronie,
dzisiaj gdzie indziej jest już,
bo to... jak wiater zawionie —
rozprószy szczęście, jak płatki róż.

Tadeusz Rawicki.

JESTEM SAM

Opuścili mnie wszyscy —
dalecy i bliscy,
odeszli bez pożegnania, bez słowa...
nie powiedzieli nawet: „bądź zdrowy".
Tacy są ludzie —
nienawiść obudzą,
nic im, że teraz ich przeklinam,
że chcę tęsknotę utopić w winie.
A ja czekam
wciąż za człowiekiem,
co przyjdzie, zrozumie i pocieszy nawet,
Nie będzie się gniewał, że nie umiem
bawić.

Za tę tęsknotę
Oddam mu złoto,
oddam mu wszystko, co mam!
Lecz, cóż?... Na razie jestem sam!

Tadeusz Multański.

MUSZĄ POCZEKAĆ

„Uran". Otrzymałem przesyłkę z ostatnimi wierszykami Pana, lecz jeszcze nie przeglądnąłem ich dokładnie. Muszą poczekać na swoją kolejkę.

Na razie daję do druku ostatni wierszyk z tych nadesłanych poprzednio.

Proszę dalej komponować na swój pożytek, a moją pociechę i coraz to nabierać wprawy w tej pięknej, acz dość trudnej pracy mózgu i ducha.

ŚPIEWAJ SKOWRONKU!...

Śpiewaj mi skowronku!
Śpiewaj skowronku hejnał kochania,
Graj mi o wiośnie czarowne pieśni.
Może uciszysz w mej duszy łkania,
Może ból serca prędzej się prześni.
Śpiewaj, och śpiewaj! graj mi bez końca
I wnieś melodią duszę w obłoki.
Może zapomnę w obliczu słońca,
Jakie łez gorzkich płyną potoki.
Śpiewaj mi jeszcze, śpiewaj, kochany!
Niech tonę w dźwięków czarownym morzu.
Niech zginę słońca cudem skąpany
Hen, razem z tobą — w niebios przestworzu.

„Uran".

Raj kobiet

O elegancką sylwetkę sportsmenki

Obecnie już każdy człowiek uprawia jakiś sport, a zwłaszcza młodsza generacja interesuje się żywo lekkoatletyką i wszelkiego rodzaju sportami, uprawiając je z wielkim zamiłowaniem. Kobiety w ostatnich dziesiątkach lat wcale niemniejszy od mężczyzn biorą udział w ćwiczeniach fizycznych i sportach.

Wiosna, zwłaszcza ta późna, ciepła, a szczególnie lato — to okres, kiedy najwięcej uprawiamy sportów, bo poza przyjemnością ruchu, mamy jeszcze miłe i świeże powietrze.

Sporty letnie wymagają posiadania różnego rodzaju bluzek, koszulek sportowych, spodni, spodenek i t. p. Trzeba jednak wiedzieć, do jakiego sportu w co się ubrać. Bo elegancja — to odpowiedni strój na odpowiednim miejscu. Jak brzydko wygląda na przykład na kajaku fantazyjna, jedwabna sukienka lub kostium, składający się z wąskiej spódniczki i koszulkowej bluzeczki, podpiętej wysoko pod szyją. Cechą każdego ubioru sportowego musi być przede wszystkim wygoda i dobre dopasowanie do linii ciała.

W sportach „lądowych" należy zwrócić nade wszystko uwagę na tenis. „Biały sport" jako swój przywilej zachował właśnie zamiłowanie do noszenia białych sukien. Robi się je z cieniutkiej wełny, z płótna lub z bawełnianych materiałów. Najlepsze są suknie, zeszyte w całości, o spódniczkach z fałdami, niekrępujące swobody ruchów, tak niezbędnej przy tym sprężystym sporcie. Moda zezwala na mocne obnażanie ramion i pleców, co niektórym sukienkom tenisowym nadaje charakter sukien plażowych.

Do sukien tenisowych nosi się kolorowe bolerka, żakieciki lub peleryńki. Na porę chłodną lub po skończonej grze — sweterki o ładnych, żywych barwach, ale o kroju jak najprostszym, sportowym. Noszenie sweterków — pullowerów i spódniczek jest mniej wygodne. Strój uzupełniać muszą skarpetki i specjalne tenisowe pantofle.

Od pewnego czasu zaczęły się pojawiać na kortach shorts'y, krótkie i szerokie, oczywiście również białe, nie zjednały one sobie jednak zbyt licznych zwolenniczek. Są dosyć śmiałe i tęższe panie wyglądają w nich nie tylko nieładnie, ale i nieestetycznie.

Turystyka lądowa (powiedzmy skromnie: wycieczki) jest najmniej wymagającym strojem, jeśli chodzi o garderobę: wystarczy skromny kostium z białą, prostą w kroju bluzeczką, dotego czapeczka sportowa i dobre, wygodne buty.

Turystyka górska wymaga nie tylko mocnych butów, ale i szerokich spodni - spódnicy, o ile możności z impregnowanej wełny. Obecnie pojawiło się w handlu wiele jej gatunków, praktycznych i niedrogich.

Sport wodny, rozpadający się na kilka działów, upodobał sobie odwieczne zestawienie kolorów — białego z granatowym. Obowiązuje on na całym świecie, we wszelkich odmianach wodnictwa.

Wioślarstwo stosuje koszulki bez rękawów i krótkie spodeńki, to wszystko, co przy wzmożonym ruchu tułowia całego i nóg nie krępuje ruchów.

Kajakowanie wymaga kompletów treningowych, spodenek i koszulek. Często panie wiosłują jedynie w kostiumie kąpielowym. Ten niezmiernie popularny sport pozwala sobie na pewną swobodę stroju, nie zawsze idącą w parze z sensem i wygodą. Wywołane to zostało właśnie popularnością kajakowania.

Natomiast zawsze jeszcze „select" yachting wymaga klasycznych spodni marynarskich, białych lub granatowych, koszuli sportowej i kurtki. Na głowę — beret lub morska czapeczka. Wszelkie odchylenia od tego stroju są źle widziane przez rasowe sportsmenki. A białe spodenki lub koszulka „umazane" od burty, czy szkotów, to tylko dowód zaprawy sportowej, tak wysoce cenionej.

Devete.



M 24686 GW 34384



K 27801

M 24 686 Sportowy płaszcz z białego lnianego płótna lub flauszu, prosty i luźny.

GW 34 384 Pijama sportowa praktyczna i miła nadająca się jednak tylko dla pań szczupłych.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji w cenie 2.— zł za sztukę.

K 27 801 Praktyczny, trzyczęściowy komplet sportowy, składający się z krótkich spodenek, zapinanych na zamek błyskawiczny, bluzki koszulowej i spódniczki, zapinanej na guziki, z oryginalnymi kieszeniami. Zastosować tu można płótno. Kroje (Beyera) do nabycia w naszej administracji w cenie 2,50 zł.

B 34 387 Do wszystkich sukienek sportowych nosić można taki dwurzędowy żakiecik z jednokolorowego płótna.

K 34 377 Sukienka tenisowa z białego płótna zapinana z przodu na guziki.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji w cenie 2,— zł za sztukę.

Czy wiecie, że...

Niemcy wyrabiają obecnie syntetyczne szmaragdy.

— o —

Rośliny śpią tak, jak ludzie i zwierzęta.

— o —

Najwięcej sztucznych zębów wyrabiają w Stanach Zjednoczonych.

— o —

Obecnie w Rosji Sowieckiej przeszło 45 procent lekarzy jest płci żeńskiej.

— o —

Dawniejsi Indianie w Ameryce używali muszli, zwanych wampum jako pieniędzy.

— o —

W Topeka, w stanie Kansas istnieje prawo, że nie wolno trzymać więcej, aniżeli pięć kotów w jednym domu.

— o —

Przywódca Mormonów, Brigham Young, który żył w pierwszej połowie 19-go wieku, miał 27 żon i 56 dzieci.

— o —

Związki anilinowe, które składają się z benzyny, azotu i żelaza, używane są do fabrykacji farb.

— o —

W Nashiville, w stanie Tennessee, jest budynek, który jest odtworzeniem słynnej świątyni greckiej, Partenonu.

HELENA ŁOTOCKA

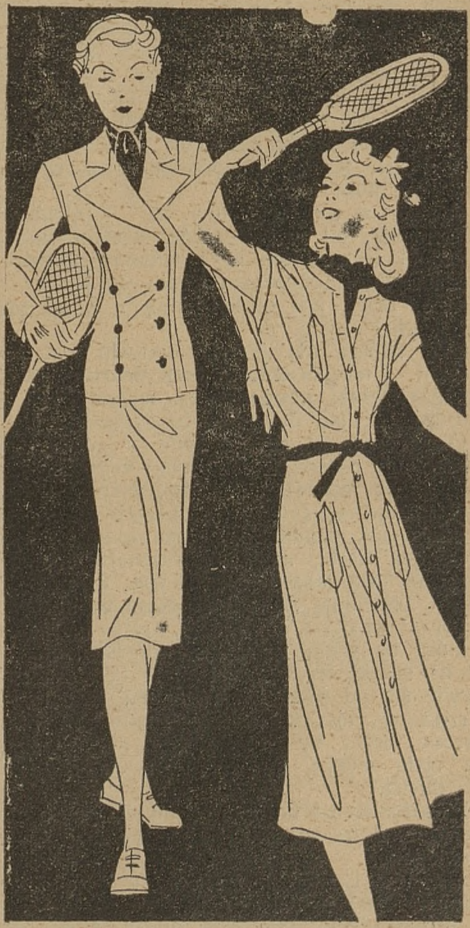
Z opowiadań skandynawskich

(NOWELA)

Dokończenie.

— Pan mówi, jakby znał mnie od tysięcy lat — uśmiechnęła się i w jej promiennych oczach wyczytał zrozumienie. Emanowała z nich na niego błoga, zniewalająca siła.

Srebrny pyłek powietrza niknął za widnokręgiem. Oni szli razem...



B 34387 K 34377

Och cóżto za fantastyczna bajka we wzajemnym otwieraniu tak nieznanych, obcych przed chwilą, a teraz bliskich dusz. W stopniowym otwieraniu tajemniczej zasłony, rozpostartej nad każdą jaźnią; we wsłuchiwaniu się w cudowną bajkę obcej do niedawna, a już zbliżającej się, już bliskiej, tajemniczej a już znanej duszy innej istoty...

Ona słuchała jego opowiadania przerażała się, gotowa była płakać nad jego losem. Bo on nie zaznał szczęścia. Serce jego dotąd nie znało ciepła miłości. Nigdy nie kochał i nie był kochany. Żył jedynie w słodkim przeczuciu spotkania jej — jedynej pierwszej i ostatniej!

Dlatego może uważano go za człowieka zimnego, wyrachowanego, obcego uczuciom ludzkim. A wszak dusza jego paliła się niegasnącym ani na chwilę, potężnym płomieniem oczekiwanego uczucia, które by pochłonęło całe jego życie, rozbrzmiało w całym wszechświecie potężnym głosem nieskończoności.

Dusze ich tuliły się, zapalały się nowym a wiecznym zniczem miłości. Tak, nareszcie znaleźli siebie!...

Dlaczego, dlaczego nie spotkali się wcześniej? Czy może Bóg Najwyższy czekał aż męką wysubtelni ich dusze? Czy wiedział, że tylko takie dusze zdolne są do miłości, aczkolwiek krótkiej ze względów na granice życia, ale wiecznej?!

Z zakładu zabrzmiał donośnie wśród otaczających gór gong wzywający na obiad...

A później badał go lekarz zakładowy. Z nawyku, choć znał najokrutniejszą prawdę, miał oczy jasne i pogodne. Wszak lekarze nie mówią prawdy śmiertelnie chorym. Nic groźnego — mówił — posiedzi pan u nas, a za parę miesięcy wyjdzie stąd z płucami niby kowalskie miechy. Tak, Olaf pragnął tego teraz, jak nigdy!. W jego sercu rozbrzmiewały pokorne suplikacje do boga Życia...

A jeszcze później poszedł do jej lekarza i dowiedział się straszliwej prawdy. Ona dogorywała.

Z płuc jej zostały strzępy. Była to kwestia może tygodnia. Olaf wyszedł od lekarza ze zbielałymi z rozpaczy oczyma. Szedł przed siebie nie odczuwając chłodu, przy okrutnym akompaniamencie szamocącego się z rozpaczy serca.

Stanął na szczycie. Srebrny pyłek powietrza unosił się w nieskończoność. Zdawało się, że łączył z nią Olafa.

A gdy pozostawisz swe ciało i wejdziesz w wolny eter, staniesz się bogiem nieśmiertelnym, wiecznie żyjącym i śmierć nie będzie miała władzy nad tobą..." — przesączyły się przez jego mózg kojącą melodią słowa niegdyś wyczytane w starej książce. I wydało się Olafowi, że doznał olśnienia. Czyż może istnieć śmierć, — koniec?... Atom raz zapłodniony życiem nigdy nie może umrzeć. To jest takie jasne, jak to, że przedmiot martwy, nigdy nie może żyć...

Patrząc z tych szczytów na nieskończone przestrzenie, od prapoczątków wieków unoszące się i łączące się w tajemniczy sposób z Wiekuistym, Olaf odczuł silnie, że śmierć nie istnieje. Duch jest nieśmiertelnym, a on przecież kochał duszą.

Tak, śmierć dla jasnego umysłu jest nonsensem. Unicestwienie i tak martwej w zasadzie cielesnej powłoki, jest wyzwoleniem się narodzeniem się ducha w nieskończoności.

Olaf roześmiał się radośnie, a góry zawtórowały mu echem. Rozstrzygnął tajemnicę dławiącą jego dusze! Góry wskazały mu wyjście! Teraz czuł się we wszechświecie, jak w rozkosznej komnacie swego domu. Nie ma strasznych krain, nie ma strasznych tajemnic! Człowiek we wszechświecie jest u siebie w domu. Zmieniają się tylko pewne formy.

Teraz wiedział, co zrobi, gdy umrze tą, z którą na wieki złączył się duchem. Pójdzie jej na spotkanie. Wszak to jest tak jasne! Oderwie się od szczytu, na którym obecnie stoi i rzuci w dół, w paszczę ziemi swe i tak martwe ciało, by donieść, do nieosiągalnych dla ciała wyżyn, swego ducha na spotkanie jej ducha.

Wesoło wracał do sanatorium. Nie było strachu, nie było rozpaczy, wszystko było jasne i świetlane...

A ona w tym czasie siedziała u jego lekarza. Lekarz kochał tę dziewczynę. Jakby w nagrodę za krótkie życie, Pan Bóg obdarzył ją urodą prawie fantastyczną. Lekarz rozumiał beznadziejność i szaleństwo swej miłości, jednak dla tej dziewczyny gotów był nawet na poświęcenie własnego życia. A ona interesowała się stanem zdrowia nowego kuracjusza — Olafa. Jeśli on przetrwa przez tydzień, będzie to szczęściem — mówił lekarz, patrząc na nią jak na objawienie.

— Śmierć już czatuje za jego plecami... Ale przed panią jeszcze długie i piękne życie — kłamał szlachetnym kłamstwem lekarzy — Pani... nie dokończył. Ze zdziwieniem zobaczył, że dziewczyna zbladła jak śnieg i chwiejąc się wybiegła z pokoju...

Po co jej długie życie, jeśli nie będzie jego... Olafa !Wszak poza nim nie ma szczęścia!!! Wszak bez niego życie nie posiada żadnej wartości!...

On ma umrzeć, a ona miałaby pozostać... Nie, śmierć nie istnieje dla ich miłości. Wszak ich łączy nić Pana Boga, nić miłości... Widocznie Pan Bóg nie chce, by długie życie zniweczyło ich miłość, która, aczkolwiek trwała przez chwile, jest wieczna! Przecież chwila podobnej miłości zastąpi im długie życie... Czyż trzeba koniecznie żyć wiecznie. Wszak oni w jeden dzień wyczerpią wieczność. Wielkie rzeczy — to błyskawice. Wieczność — to chwila. Jedna chwila, która zapala się i trwa nieskończenie. Wieczność błyskała w spięciu ich ócz trwającym mgnienie i wieki...

Teraz wiedzieli już, że ich życie należy tylko do nich. Teraz z nadzwyczajną intuicją wyczuwali bieg życia. Każde z nich myślało, że odzyska zdrowie i każde znało straszliwy wyrok ciążący nad drugim. Dlatego też w tej ostatniej chwili zapragnęli się związać węzłem sakramentalnym...

Ślub ich odbył się w pobliskim mieście. Goście z sanatorium obecni na ślubie patrzyli z utajoną litością, a na pozór winszowali wesoło.

Zaś oni promienieli szczęściem, jak dwie kościelne dogorywające świece, co płoną jakby na pożegnanie wspaniałym płomieniem przed zgaśnięciem. Choroba i miłość opromieniły te dwie istoty nieziemskim pięknem.

Można było płakać i śmiać się. Modlić się i kląć...

Nie, oni nie chcieli umierać!... Oni chcieli żyć wiecznie. Bóg zrobił ich wybrańcami miłości. Ale widocznie już się zbliżał kres. Lekarze nakazali im nie wstawać z łóżek. A ich ciągnęła przestrzeń, która była tak wielką, jak ich miłość. Pewnego poranka uciekli spod opieki lekarzy. Wziąwszy się za ręce poszli na szczyt.

Powietrze przeświecone brylantami słońca promieniało. Odczuwało się, że ono żyje, bo wibrowało, płynęło cichą strugą, coś szeptało... Czym było życie, czym była śmierć wobec bezmiaru ogarniającego ich szczęścia... Olaf odczuwał, że nieśmiertelność tkwi w jego istocie, przepływa przez jego duszę. Śmierć już nie istniała dla niego, gdyż dusza jego była zapłodniona tą miłością, która przychodzi może raz na setki lat, ale trwa przez wieki. Bo miłość stwarza wieczność w duszach, gdyż łączy z Wiekuistym.

Czy nie byłoby stosownym pogardzić ostatkami ziemskiego życia i oddać je w ofierze ich miłości?... Niech miłość sprawdzi, że jest mocniejszą od śmierci...

Góry modliły się, jak białoskrzydli aniołowie Ziemi do Twórcy. Niewinne, ubrane w dziewiczą biel jarzyły się niepokalaną czystością. Z ich wierzchołków cały świat wydawał się śnieżnie — niepokalanie czystym. Oni s'ali na szczycie. Miłość zachłystywała ich wezbranymi falami. W ciele wyczuwało się skrzydlastą lekkość. Wydawało się im, że ich ciała były lżejsze niż górski eter. Jeśliby zstąpili ze szczytów w białą przestrzeń — mogliby polecieć. Wysubtelnieni byli duchem, który ich przepełniał, który był lżejszym od najsubtelniejszego eteru — bo był boskim duchem ich dusz. Milionami śnieżnych gwiazd połyskiwała przed nimi biała panorama ziemi. W tych śnieżno - jasnych, niepokalanych przestworach śmiesznym wydawało się ciężkie życie ludzkie. Dalekie, ociężałe, omylne...

— Izoldo — powiedział Olaf pieszczotliwie — miłość jest lżejszą, mocniejszą niż ciężkie w swej wadze gatunkowej życie.

— Izoldo, czy kochasz mnie?...

— Kocham, powiedziała i to jej słowo rozbrzmiało słodko śród górskich szczytów jak długo oczekiwana melodia. — Kocham... odbiły białe płaszcze gór. — Kocham nad życie, kocham do ostatku życia (jakże śmiesznie to brzmiało — pozostało jej życia najwyżej kilka dni...) — Kocham na wieki, poprawiła się.

Wzrok Olafa radośnie błądził śród jasnych przestworów zawisłych między szczytami. — O Izoldo! — wyszeptał — słowo kocham w zasadzie nic nie tłumaczy w stosunku do mocy mej miłości. Czuję, że weszłaś w moją istotę, że zlałem się z tobą jak ta przestrzeń zlała się z Panem Bogiem. Izoldo, co znaczy miłość ludzka wobec bezmiaru uczucia, które tkwi we mnie!... Przecież życie jest tylko chwilą, a zespoliłem się z tobą na wieki!... Odczuwam wibracje naszych dusz w tych błękitnych przestrzeniach, odczuwam, że płyniemy w nich, odczuwam powiew skrzydeł anielskich i tak mi błogo, słodko, słodko... On zamilkł, później rozpoczął jakby we śnie: — Izoldo! wiem, że umrzemy prędko, może za chwilę, ale nigdy nie umrzemy dla tych przestworzy. Czy mielibyśmy czekać na ohydną śmierć ludzką?!... Polecimy!...

Przed nimi kłębiła się błękitnawo biała przestrzeń otchłani.

— Polecimy jak bogowie i zmieszamy się z tymi srebrzystymi, wiecznymi przestworami. Nie życie nas, lecz my je odpychamy, by zamienić duc hkrótkiego ziemskiego istnienia w nieśmiertelny duch wiecznej radości wibrującej dokoła... Och, jakże słodkim byłoby zmieszać się — jak w jasnym czystym śnie z tą przestrzenią, by w niej dalej kontynuować naszą krótką na ziemi, a wieczną w nieskończoności miłość...

— Izoldo, polecimy!...

— Tak polecimy — odpowiedziała ona patrząc na niego błyszczącymi szczęściem oczyma. Oczy ich splotły się. I oni przytuleni uściskiem wesoło oderwali się od szczytu i polecieli...

I stał się cud — ci dwoje polecieli jak w szczęśliwym śnie, polecieli jak aniołowie na skrzydłach. Nie w czarną otchłań, lecz w błękitną Nieskończoność. Lecieli swobodnie i radośnie nie odczuwając strachu w błękitnym, fruwającym dokoła pieszczotliwie eterze — eterze, który wszak jest oddechem nieskończoności, oddechem bożym. Nie odczuli jak przełamali granice materii, przebili mur wieczności i unosili się dalej w modrej nieskończoności, podnoszeni lekkim, jak tchnienie Boga, bożym astralem. Azali miłość trwa na ziemi tylko przez krótką chwilę, a przez wieki w nieskończoności.

—o—

Czytelniku, jeśli będziesz kiedy w tych górach, wejdź na szczyty samotnie, jak zrobiłam to ja (albowiem miłość boi się zgiełku). Owładnie tobą urocze, błogie uczucie spokoju. Odczujesz w pobliżu trzepotanie skrzydeł Wiekuistego. Przed tobą będą stały szczyty gór podobne do nieruchomo wyrosłych anielich skrzydeł Ziemi. I niezawodnie nagle usłyszysz pieszczotliwy, cichy powiew:

— Izzolll-dooo... — będzie ktoś szeptał wśród gór głosem cichym wzruszonym i miłosnym, jak głos kapłana odmawiającego modlitwy przy Sakramencie. I później usłyszysz cichy święty szept:

— Ollla-ffieee...

Wiedz, że to lecą duchy tych dwu, co wznieśli się na szczyty miłości choć na chwilę — ale trwają tam przez wieki na wieki. Polecieli radośnie w nieskończoność i krążą śród tych zaczarowanych ich tchnieniem gór i pieszczotliwie szepcą kochane imiona...

— Olll-a-fieee...

— Izzolll-dooo...

Bo dla prawdziwej miłości nie ma śmierci, istnieje tylko przedłużenie ducha w nieskończoności.

Może powiedzą ci, że to szumi wiatr. Nie wierz, bo jest to głos świętej miłości, która jest krótką na ziemi i wieczną w Nieskończoności...

— Izzz-o-llldoooo...

— Olll-a-ffieee...

—o—

Było to w Skandynawii, może bardzo dawno, może jest i dziś, może będzie stale.

— Są tam góry zaczarowane, zaczarowane lekkimi, pieszczotliwymi czarami słodkiego jak sen, wielkiego jak bóstwo wiecznego Ducha ludzkiego dlatego odczuwa się na ich szczytach jakąś nadziemską lekkość, upaja nieokreślone uczucie szczęścia i radości...

Tak głosą podania miejscowej, skandynawskiej ludności lubującej się w sagach wysnutych z rzeczywistości... Rzeczywistość obraca się w przeszłość, przeszłość kamienieje w sagi, a sagi od wieków rozbrzmiewają słodkim echem piękna drogiego marzeniem ludzkim.

czeniem babki, nakazującej mi pewnego dnia udać się do Dijon po zakupy.

Po raz pierwszy miałam jechać sama do tego miasta, Klaudyna bowiem była już zbyt stara na takie męczące podróże.

— Jesteś młoda i nie zajmujesz się niczym. Już czas najwyższy, abyś się na coś przydała.

Udałam się zatem w drogę, obarczona zleceniami babki.

Hojność mej czcigodnej opiekunki nie pozwalała mi na zbyt wygodną podróż. Zanistalowałam się w przedziale trzeciej klasy, zażenowana spojrzeniami mych towarzyszy podróży, będących w większości okolicznymi wieśniakami, obładowanymi koszykami i niedbale obwiązanymi paczkami.

Pociąg już ruszał, gdy nagle drzwi się otworzyły, pchnięte energiczną dłonią. Jakiś mężczyzna wskoczył do przedziału w chwili, gdy pociąg nabrał rozpędu.

Podróżni zrobili miejsce nowoprzybyłemu, na którego rzuciłam zaledwie przelotne spojrzenie.

Gdy jednak po chwili usiadł w drugim końcu przedziału na przeciwległej ławce omal nie krzyknęłam ze zdziwienia.

Poznałam Jana Salvin.

Siedząc zmieszana, wytrącona z równowagi, uczułam nagle na sobie jego oczy o groźnym spojrzeniu, zdające się mówić:

— Tym razem pani mi nie ucieknie i będziemy musieli się rozmówić.

Na widok młodego człowieka i pod wrażeniem jego spojrzenia, ogarnęło mnie straszliwe wzruszenie.

Serce ścisnęło mi się w okropnym popłochu, gardło zdławiła żelazna ręka; owładnęła mną okrutna rozterka, czułam się bliska omdlenia.

Byłam niezdolna do najmniejszego wysiłku. Zdobyłam się tylko na odwrócenie głowy ku oknu, i patrząc niewidzącymi oczami na krajobraz, przesuwający się jak nieskończenie długa wstążka, siedziałam przybita, bez myśli, bez woli, oczekując nieuniknionej konieczności, której nie mogłam uniknąć, przeczuwając, iż mój towarzysz podróży zażąda ode mnie rozmowy, wytłumaczenia, wyjaśnienia.

Zaledwie mogłam w zmieszaniu zdać sobie sprawę z tego, iż młody człowiek musiał mnie zapewne śledzić, ścigać i że znalazł się w tym wagonie trzeciej klasy jedynie dlatego, iż ja w nim byłam.

Pełna niepokoju, nie słyszałam nazw stacji i nie widziałam, iż podróżni opuszczali przedział, spiesząc na doroczny jarmark, odbywający się w tym dniu, pozostawiając mnie samą z mym towarzyszem w dalszej podróży do Dijon.

Patrzyłam wciąż na uciekające przed mymi oczyma drzewa. I nagle drgnęłam, czując iż cała krew ucieka mi do serca pod badawczym spojrzeniem, szukającym mych oczu.

Jan przysunął się i siadając na przeciw, by móc wciąż patrzeć na mnie, uwięził me ręce w swych dłoniach.

— Sabino, dlaczego zrobiła mi pani tę przykrość? Co oznaczało to gwałtowne odejście? To długie milczenie? Gdy wszedłem tu, nie rzuciła mi pani nawet przyjaznego spojrzenia, ani uśmiechu na powitanie. Co oznacza to zachowanie? Pani się gniewa na mnie, Sabino? Co uczyniłem złego?

Głos jego dochodził do mnie jak przez mgłę, tłumiącą dźwięk i treść wypowiada-



Sianokosy

nych słów. Przymknęłam oczy tak blada, iż zdawało mi się, że zemdleję. Całą siłą woli nakazywałam sobie:

— Nie odzywaj się! Nie tłumacz się, nie przyjmuj walki — zostaniesz zwyciężona! Milcz, by nie odgadł twego cierpienia; milcz, by nie uradował się twą zazdrością; milcz, by nie kłamał ci znowu! Pamiętaj o Róży, którą trzymał w swych ramionach i całował! Bądź silną przez milczenie!

Czy widział moją bladość, czy przeczuwał osłabienie fizyczne, które mnie ogarnęło?

Opuściwszy raptem swe miejsce rzucił się ku mnie, otoczył ramionami i przyciągnął do siebie.

— Sabino! Moja mała Sabinko... O Boże, zrobiło się jej słabo!

Omdlała, znalazłam się w ramionach tego, od którego pragnęłam uciec; w ramionach nędznego uwodziciela, który w moim wyobrażeniu, był zdolny do wszystkiego.

On jednak, wbrew moim przypuszczeniom, nie uczynił nic, a raczej tak mało w porównaniu z tym, o co go posądzałam.

Łagodnie, tkliwymi, macierzyńskimi ruchami, zdjął mi kapelusz i rozpiął kołnierzyk bluzki, na tyle jednak tylko, bym mogła swobodniej oddychać, by nie urażało to mej skromności.

Poczem odważył się na śmielszy odruch. Widząc mnie bladą, z zamkniętymi oczami, wspartą bezwładnie na jego ramieniu, tak blisko jego ust, nachylił głowę i dotknął wargami mej skroni.

Ten niewinny pocałunek wstrząsnął mną jak prąd elektryczny. Osłabienie moje było tylko nerwowe, świadomość nie przestała notować wrażeń. Ten, braterski nieomal pocałunek, wywołał zbyt żywo, wspomnienie pocałunku danego Róży i tak mile przez nią przyjętego.

Instynktownie, powracając do zmysłów, odepchnęłam go ręką, odrzuciwszy w tył głowę.

Poczem rozszerzonymi ze zgrozy oczami, spojrzałam na niego.

— Niech pan odejdzie, proszę mnie zostawić!

— Sabino, moja mała Sabinko, szeptał błagalnie. Proszę się nie bać, to ja jestem, proszę mnie wysłuchać.

— Nie, niech pan odejdzie, nie chcę!

Odepchnęłam go energicznie z większą siłą.

Nic nie pojmując, usiadł na przeciwległej ławce.

— Ależ co się stało? Pani boi się mnie? Ucieka pani przede mną! Proszę mi przynajmniej powiedzieć powód tego postępowania?

Nie czując go już tak blisko siebie, stałam się odważniejszą.

— Sabino, ciągnął dalej, bądźmy szczerzy z sobą i nie zadawajmy sobie niepotrzebnego bólu. Coś zaszło między nami, ale co? Proszę mi powiedzieć otwarcie.

— Nie mam nic do powiedzenia panu.

— Dlaczego więc odeszła pani tak dziwnie z Belle Vue?

— Przypomniałam sobie zlecenie babki, którego nie wykonałam.

— I dlatego uważała pani za wskazane opuścić mnie bez pożegnania?

— Chciałby mnie pan zatrzymać; musiałabym tłumaczyć panu...

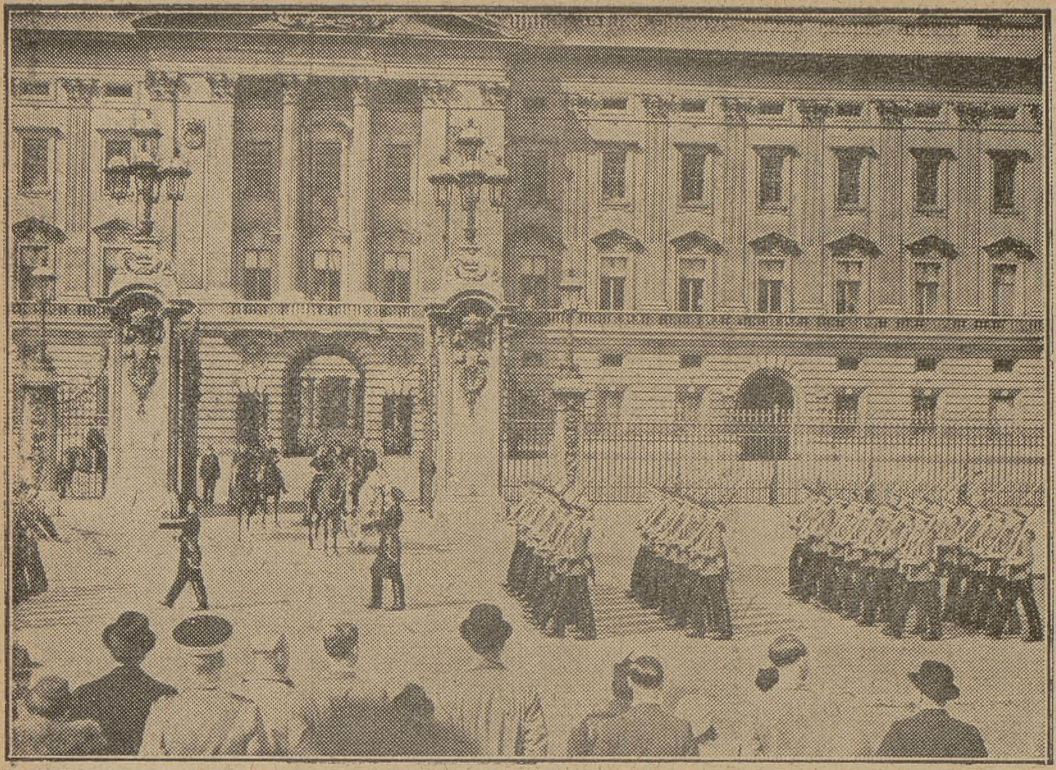
— A te tłumaczenia drogo by panią kosztowały, nieprawdaż?

Wzruszyłam ramionami ze znużeniem. Mimo mej woli chciał wciągnąć mnie w rozmowę, która napełniała mnie odrazą. Niełatwo jest kłamać, a jednak, wolałabym raczej umrzeć, niż przyznać się, ile wycierpiałam od tamtej chwili.

— Przypuśćmy, iż miała pani naprawdę powody do tak gwałtownego odejścia... ale od tego czasu? Ani jednego słowa wyjaśnienia lub żalu; ani jednych odwiedzin: nic, nic!

Nie odpowiadałam, przekładając milczenie nad nieprawdopodobne tłumaczenia. Wówczas, nachylił się ku mnie, biorąc mnie znowu za ręce.

— Sabinko, niech pani nie każe mi cierpieć dłużej. Istnieje między nami napewno



Z okazji poświęcenia sztandarów kilku pułków angielskich, odbyła się wielka defilada przed pałacem Buckingham w Londynie

jakieś nieporozumienie, musimy je wyjaśnić, błagam panią. Czy to możliwe, bym mógł coś zrobić lub powiedzieć, co sprawiłoby pani przykrość? Jeśli tak się stało, Sabino, przysięgam, że uczyniłem to niechcący i pani nie ma prawa wydawać na mnie wyroku, nie wysłuchawszy mnie uprzednio.

— Niech pan zamilknie! zawołałam myśląc o Róży, którą trzymał w swych objęciach.

— Przez milczenie nie wyjaśnimy tego nieporozumienia, które nas dzieli. Sabino zaklinam panią, proszę mnie wysłuchać. Nie może pani wątpić we mnie: kocham panią. Wszystko co jest we mnie należy do pani. Pani jest celem mego życia; jedynym mym pragnieniem jest wzbudzić w pani miłość dla mnie, uczynić panią swą żoną.

Płacz ścisnął mi gardło, z oczu trysnęły łzy.

Jakże mogłam pozostać obojętna na słodycz jego głosu, na czar słów, które wypowiadał, na wspomnienie o cudnym śnie o szczęściu?

I podczas gdy całą duszą pragnęłam być przy nim, schronić się w jego ramionach i wykrzyczeć moją wzajemną miłość bezlitosny, ironiczny głos odzywał się w mym rozsądku: „On kłamie! Czyż nie wiesz, że w Belle Vue składał Róży te same przysięgi?"

Obraz Róży zmuszał mnie do odepchnięcia go:

— Byłabyś tak podła, by odbierać narzeczonego tej biednej dziewczynie? Nawet jeśli on chciał się tylko nią zabawić, nie masz prawa zajmować miejsca, które jej się należy..."

Kryjąc twarz w dłoniach, by nie widzi ł mych łez, wcisnęłam się w kąt przedziału.

Patrzył na mnie niezdecydowany. Milczenie, które zachowywałam w odpowiedzi na jego zaklęcia miłosne, zdawało się go dezorientować.

— Niech pani nie płacze, Sabino, błagam panią, podjął ze smutkiem. Jeśli wyznanie mych uczuć powoduje pani zmartwienie, żałuję że je uczyniłem... Zaczekam jeszcze, by pomówić z panią o tym... Musi pani jednak zrozumieć jak okrutnym jest dla mnie mnie milczenie pani; niech mnie pani nie pozostawia pod tym rozpaczliwym wrażeniem; trzeba mieć litość nad ludźmi, nawet jeżeli nie podziela się ich uczuć.

— Co pan chce ode mnie? spytałam nieśmiało, wzruszona jego bladą i zastygłą w cierpieniu twarzą.

— Aby pani odpowiedziała szczerze na kilka pytań.

— Takich?

— Przede wszystkim: czy to przez antypatię osobistą nie odpowiedziała pani na moje wyznanie?

— Nie czuję antypatii do nikogo.

— Do nikogo, powtórzył, przykre słowo, stawia mnie bowiem na równi z ludźmi najzupełniej obojętnymi pani. Chciałbym wiedzieć dokładnie: czy do mnie?

— Nic nie mam przeciwko panu.

— Dobrze. Czy unika mnie pani zatem na czyjś rozkaz? Ktoś zakazał pani widywania się ze mną?

— Nikt nie ma takiej władzy nade mną. Nie uległabym nikomu, ktokolwiek by miał pretensję do podobnej kontroli mych czynów.

— A może po prostu pani kocha innego?

— Co to, to nie, zaprotestowałam.

— A więc? nalegał w dalszym ciągu.

— Nie kocham nikogo. Nigdy nie wyjdę za mąż.

Stwierdzając to, rozpłakałam się na nowo.

Nachylił się nade mną i, ocierał mi łagodnie oczy, jedwabną chusteczką wydobytą z kieszonki.

— Niech pani nie płacze, Sabino; nie mogę patrzeć na łzy pani. Pragnąłbym wziąść panią w ramiona, by wypić te łzy, by osuszyć ich źródło z myślą, iż pocałunki moje mogłyby ukoić pani cierpienie.

— Oh, zabraniam panu mnie całować! zawołałam, szlochając jeszcze gwałtowniej.

— Niechże więc pani będzie rozsądną, inaczej nie gwarantuję za nic.

— Moja maleńka, ukochana Sabinko, gdyby pani wiedziała jak szczęśliwym uczyniła mnie pani przed chwilą.

— Ja?

— Tak, pani.

— W jaki sposób?

Zdumiona, przestałam nagle płakać.

— Oświadczyła mi pani, iż nie jestem jej antypatyczny, że nikt by nie mógł rozdzielić pani ze mną. Wreszcie, o najsłodsza nadziejo! nie kocha pani innego i, jeśli nie wyjdzie pani za mąż za mnie, nie poślubi pani nikogo.

— To ja tak powiedziałam?

Uśmiechnął się, słysząc mój sposób wyrażania.

— Może bardziej gramatycznie, lecz z pewnością, chciała pani to powiedzieć.

— Nie ma się pan więc z czego cieszyć.

— Dlaczego, zapytał zbity z tropu.

— Gdyż, jeśli nie wyjdę nigdy za mąż mało jest widoków na to, bym została pana żoną.

— Wystarczy mi narazie pewność, iż pani nie kocha innego, a ponieważ kilka dni temu nie była mi pani niechętna, przeciwnie nawet! nie tracę nadziei.

— Wczoraj nie jest podobne do dziś!

— Między tymi dwoma biegunami zatem istnieje coś, co nas rozdziela. A ponieważ nie jest to ani zakaz, ani czyjaś wola, ani myśl o innym mężczyźnie, pozostaje tylko nieporozumienie, które czas złagodzi.

Pokręciłam głową.

— Nie przypuszczam, aby czas mógł na to coś zaradzić.

— Chodzi tylko przecież o panią i o mnie... A może powiedziano pani...?

— Nic mi nie powiedziano.

— Dowiedziała się pani...

— Niczego się nie dowiedziałam.

— Zrobiłem więc może pani przykrość?

Oczy moje nabrały twardego wyrazu; skierowałam je znowu na krajobraz. Za każdym razem, gdy pytania jego zbliżały mnie do Róży, niechęć odżywała na nowo w mej duszy.

Przyglądał mi się w milczeniu, poczem rzekł, wstrząsając głową:

— Nie chce pani mówić, rzekł z goryczą. Gniewa się pani na mnie, ale nie chce pani wyjawić szczerze swej urazy. Sprawia mi pani wielką przykrość, Sabino.

— Och, komu to mówić o szczerości! Panu zwłaszcza! zawołałam, nie myśląc o tym jak rozległe znaczenie może on nadać temu okrzykowi.

Rzeczywiście, słowa te wywołały w nim wyraźne wzburzenie.

— Ja jestem nieszczery? wybąkał.

Patrzył na mnie z przerażeniem, osłupiałymi oczami, nadaremnie usiłując zrozumieć.

Ukryłam twarz w dłoniach, by go nie widzieć.

Ciężkie milczenie zapanowało między nami.

Czułam, iż dotknięty do żywego oskarżeniem, które zawierały me słowa, zastanawia się nad ich znaczeniem.

Nagle zaczął mówić. Głos mu drżał z powstrzymywanego wzburzenia widać było jednak, iż nie chce okazać gniewu lub oburzenia.

— Zrobiła mi pani bezpodstawny zarzut. Sabino; mogę tylko z tego wnioskować, iż pomyłka pani jest doniośliejsza, niż przypuszczałem. O ile wiem dobrze, iż nie jest

pani zdolna do lekkomyślnego rzucania podejrzeń na kogoś, o tyle jestem pewien, że nie zasłużyłem na zarzut nieszczerości, który mi pani zrobiła. Czy mogę skorzystać z okazji, by zapytać panią, co pani rozumie przez ten okrzyk?

— Nie mam panu nic do powiedzenia. Odmawiam odpowiedzi, bąkałam przerażona tym, iż muszę mówić.

Zdaję sobie sprawę, iż z dobrej woli nie zechce mi pani nic powiedzieć. Ale gdybym jednak nalegał?

— Poco?

— Zatem odmawia mi pani odpowiedzi.

— Nie mam nic do powiedzenia panu.

— Niech tak będzie.

Zrobił lekki ruch bezsilnego żalu.

Zostawmy więc tę sprawę i nie mówmy o niej więcej. Pani mnie głęboko zraniła; zaczekam, aż pani sama zrozumie bezpodstawność swych podejrzeń. Przejdźmy do innego tematu: czy ma pani dużo spraw do załatwiania w Dijon?

— Sporo. Babka wypisała mi całą listę.

— Czy byłoby to zbyt wielką niedyskrecją prosić o pokazanie mi tej listy?

Posłusznie podałam mu ją. Onieśmielał mnie teraz naprawdę. Mówił zimno, twarz ściągnęła mu się wysiłkiem, który robił by zachować spokój, unikał mego spojrzenia.

— Załatwi to pani w ciągu dwóch godzin moim autem, rzekł po przeczytaniu listy.

— Autem pana?

— Tak, szofer będzie oczekiwał przyjścia pociągu.

Widząc me zdziwienie, wyjaśnił:

— Od trzech dni czyham na pani wyjście ukrywszy samochód w lesie, przyrzekłem bowiem sobie, iż muszę się z panią rozmówić, a przeczuwałem, iż trzeba będzie oddalić się stąd, by móc swobodnie mówić. Dziś rano śledziłem panią: widziałem, iż pani kupuje bilet do Dijon, było to zatem dziecinną zabawką wsiąść za panią do wagonu, poleciwszy uprzednio szoferowi, by mnie oczekiwał na dworcu w Dijon.

— Rozumiem, szepnęłam, zawstydzona złą, iż on wszystko przewidział, by móc spotkać się ze mną, ja zaś włożyłam tyle niechęci w tę upragnioną przez niego rozmowę...

On zaś ciągnął dalej:

— Skorzysta pani zatem z mego samochodu. Obecnie jest kwadrans po dziewiątej. O wpół do dwunastej, przypuśćmy o dwunastej, wszystko już pani załatwi. Będę panią oczekiwał. Proszę mi ofiarować pozostały czas aż do odejścia wieczornego pociągu, czy przyrzeka mi pani to?

— Pozostały czas? A poco?

— Byłbym pani bardzo zobowiązany za niedopytywanie się. Zależy mi na obecności pani. Trudno mi wzbudzić w pani ufność po tym, co mi pani przed chwilą powiedziała, mogę jednak zapewnić panią o mym głębokim dla niej szacunku i chcę wierzyć, iż nie poddaje go pani w wątpliwość.

— Nie wątpię w nic; mam zaufanie do pana, sądzę jednak, iż najlepiej by było, abyśmy się już więcej nie spotykali.

— Czy to ma oznaczać zupełne zerwanie? szepnął.

— Tak, jęknęłam. To będzie najlepsze.

Westchnął wobec tego uporu. Lecz, spokojny, nalegał dalej:

— Żałuję bardzo, ale nie podzielam pani zdania. Muszę spędzić z panią dzisiejsze popołudnie, choćby tylko dlatego, aby pani mogła sprawdzić swe podejrzenia o mnie.



W takich oto strojach nasze babcie kąpały się w morzu.

— Przyzwoitość nakazuje młodej dziewczynie skromność. Jakże może pan żądać bym spędziła z nim całe popołudnie?

— Przyzwoitość nakazuje również zadośćuczynienia dla tych ludzi, którym się ubliża.

Szloch ścisnął mi znowu gardło.

— Och, nadaje pan zbyt wielką wagę mym słowom.

— Nie wolno mi zapatrywać się na nie inaczej, ponieważ odmawia mi pani wszelkich wyjaśnień i absolutnie nie wiem, co mogło je pani podyktować.

— A zatem, żąda pan, aby dziś po południu...

— Nie żądam niczego. Proszę tylko o ofiarowanie mi przez panią dzisiejszego popołudnia.

— Dokąd mnie pan zaprowadzi?

— W dalszym ciągu proszę, by pani nie dopytywała się o nic.

— A jeśli nie zechcę pójść z panem?

— Powiem, iż panna Sabina de Presec obraża ludzi i odmawia im późniejszej zadośćuczynienia.

— Ależ zapewniam pana, iż nie miałam zamiaru urazić jego honoru. Powiedziałam jakieś słowo na wiatr, a pan korzysta z tego, by mnie zmuszać do...

Patrzył na mnie ze zdumieniem.

— Sabino, czy to możliwe, aby pani mówiła w podobny sposób, po tych okrutnych słowach! Czy mam je pani przypomnieć?

Opuściłam powieki, zawstydzona swą niezręcznością.

— Przepraszam pana, szepnęłam. Chciałabym złagodzić moje poprzednie słowa, a robię to tak niezręcznie, iż wygląda to na spieranie się o ich znaczenie. Nie miałam zamiaru dotknąć pana honoru, mówiąc o szczerości. W oczach pana niektóre postępki są zupełnie naturalne... bowiem są bardzo męskie.

— Nie wiedziałem, iż wartość honoru u zależnia się od tego, czy mowa o mężczyźnie, czy też o kobiecie. Zatem, według pani, jestem godny nagany za coś, co mężczyźni pochwalaliby?

Wahałam się z odpowiedzią na to bezpośrednie pytanie. Wreszcie zaczęłam z namysłem:

— Mój Boże... tak, sądzę, iż mężczyźni napewno... przynajmniej niektórzy! Ja jestem zacofana, a przytem biedna dziewczyna z prowincji, która nigdy nie opuszczała swego ciemnego zakątka. Przepraszam pana za te nierozważne słowa, które pan niedawno usłyszał ode mnie. Życzę sobie, by pan się więcej mną nigdy nie interesował, taką niemądrą i przykrą dziewczyną. Rozstańmy się za chwilę w Dijon bez żalu. Niech pan idzie swoją drogą, a ja pójdę swoją.

— Swoją drogą? Zacofana, naiwna dziewczyna z prowincji, pełna czcigodnych przesądów, szczerość której nie ulega żadnej wątpliwości!

Pozwalał mi mówić uprzednio nie przerywając, teraz jednak jego zgryźliwy i ironiczny głos zdradzał gorycz, przebijającą w chłoszczących słowach. Ciągnął dalej:

— Ma pani szczególny sposób, Sabino, tłumaczenia się i łagodzenia tego, co pani nazywa „niezręcznością". Mężczyźni... przynajmniej niektórzy! A ja zaliczam się naturalnie do tych, którzy nie przywiązują wagi do szczerości. Rzeczywiście, wysoko mnie pani ceni!

Łzy błysnęły ponownie w mych oczach. Chciałam jeszcze mówić, tłumaczyć, lecz co mogłabym powiedzieć, by nie pogłębić nieporozumienia? Pozostawało tylko wyjawić prawdę. Ja zaś byłam niezdolna do wypowiedzenia jej. Jakże bowiem powiedzieć: „Pan jest oszustem i kłamcą. Wyznaje mi pan swą miłość i to samo mówi pan Róży. Stara się pan przekonać mnie o swej miłości, o uczciwości swych zamiarów, a ja widziałam Różę w pana obję-

ciach, widziałam jak ją pan okrywał pocałunkami".

Moje milczenie w odpowiedzi na jego gwałtowną apostrofę musiało mu być bardzo przykre.

Z czołem poprzecinanym głębokimi zmarszczkami, patrzył, nic nie widząc, na krajobraz przesuwający się za oknami wagonu. Nie dostrzegał mego wzruszenia, pogrążony w bolesnym rozmyślaniu; nie widział mego zrozpaczonego spojrzenia, skierowanego ku niemu.

Nie mogłam oderwać wzroku od jego wzburzonej twarzy, od przygryzionych zębami ust, od szarych oczu o stalowych błyskach.

I mimo, iż w mym biednym obolałym mózgu powstała przemożna chęć wykrzyczenia mu podłości, o którą go oskarżałam; zazdrości, która dręczyła mnie od ośmiu dni, nie mogłam zdobyć się na nic innego: jak tylko na żałosne, w umęczonej duszy, ubolewanie:

— Teraz on gniewa się na ciebie i nigdy ci nie przebaczy. Odejdzie od ciebie, przecież chciałaś tego. Przypatrz mu się dobrze, wszystko już skończone! Wszystko skończone! Zerwałaś sama więzy, które was łączyły.

Jęk bólu wydarł mi się z gardła, zaciskałam ręce w rozpaczy. Oh, jakież okrutne to były chwile!

Koła wagonu stuknęły głośniej; nagłe szarpnięcie rzuciło mnie naprzód i raptem znalazłam się w ramionach mego towarzysza, który przed chwilą wstał ze swej ławki.

Przez sekundę piersi nasze zetknęły się, nieprzytomne źrenice zatopiły się w sobie. Nagle wszystko znieruchomiało dookoła nas. Pociąg zatrzymał się na dworcu w Dijon.

W tej krótkiej chwili zbliżenia naszych ciał nerwy odprężyły się nieco, lody zostały na nowo przełamane.

Ściskając me ramię, pomógł mi wysiąść z pociągu. Po czym, idąc za mną, skierował się ku wyjściu. Byłam jeszcze tak wzburzona, iż nogi uginały się pode mną.

Na placu przed dworcem ogarnęło mnie wahanie: czy miałam odejść, rzuciwszy mu pożegnanie, nie odwracając głowy, czy też zgodzić się na spędzenie z nim popołudnia, tak jak o to prosił.

Zwolniłam machinalnie kroku, zatrzymując się prawie, niezdolna do powzięcia decyzji.

On ją powziął za mnie.

Uczułam, wsuwającą się pod me ramię, rękę.

— Pani pozwoli! Mój samochód stoi tutaj.

Palce jego paliły me ciało poprzez jedwab rękawa, wywołując we mnie dziwne drżenie.

Otworzył przede mną drzwiczki samochodu.

— Proszę wsiąść i szybko załatwić wszystkie sprawunki.

Usłuchałam, niezdolna do najmniejszego oporu.

— O dwunastej na Placu Ratuszowym, czy tak?

— Tak, wyszeptałam.

To potwierdzenie wydało mu się jednak niewystarczającym. Zagłębiając oczy w mych źrenicach, jakby chcąc przeniknąć mnie całą swą wolą, powiedział z naciskiem:



Tańce wiedeńskiego baletu na wolnym powietrzu.

— Czy daje pani słowo, Sabino, iż mi pani nie ucieknie? Czekam na panią, czy obiecuje mi pani przybyć na wskazane miejsce?

— Obiecuję.

— Na pewno?

— Za całą pewnością.

— A zatem do widzenia wkrótce?

— Tak, do widzenia wkrótce!

* * *

Zamknął drzwiczki i zwrócił się do szofera, podając mu adresy, pod które miałam się kolejno udać. Po czym, gdy samochód już ruszał, zrobił w moją stronę przyjazny ruch ręką. Poznałam po ruchu warg, iż rzucił mi raz jeszcze nakaz:

— Do widzenia wkrótce, na pewno!

Nie zamierzałam uchylać się od wyznaczonego spotkania.

Przeciwnie, ogarnęła mnie jakaś gorączka, gdy spiesząc się, załatwiałam w sklepach i biurach polecenia babki, z jedyną myślą o jak najszybszym ukończeniu wszystkiego.

Świadomość, iż go wkrótce zobaczę wlewała ogień w moje żyły. Po porannym wzburzeniu, niechęci, goryczy, wyrzutach, które zawierały me słowa, odczuwałam bezmierną potrzebę pokoju i zgody.

Jeżdżąc od sklepu do sklepu, wciśnięta w kąt samochodu — samochodu należącego do niego i przesiąkniętego jego osobą — z sercem wypełnionym po brzegi miłością, miałam wciąż przed oczami jego umęczoną twarz, chłodne spojrzenie, błądzące po przesuwającym się krajobrazie, ironiczne, drżące z oburzenia usta, zagryzione zębami, powstrzymującymi gorzkie, przykre słowa, które musiały mu się cisnąć w odpowiedzi na moje niegodne podejrzenia.

Na to wspomnienie gorące fale uderzały we mnie i szeptałam na wpół przytomna:

— Oh, Janku, przebacz mi, kocham cię, jestem zazdrosna, cierpię! Powiedz mi jeszcze raz, że kochasz mnie... tylko mnie. Że będziesz mnie zawsze kochał! Mów mi

— Wiem dobrze, że kłamiesz... kłamiesz! Ale mów, tak słodko jest słuchać tych słów, słuchać twego głosu; tak ciężko jest nie wierzyć ci, ale tak błogo wiedzieć, że jesteś przy mnie, że cię słyszę, że nie wszystko jest jeszcze skończone!...

— Ach, wiem dobrze, że jest Róża, ale pomimo to, mów mi te kłamliwe słowa. Umiesz oszukiwać kobiety... Róża jest dla ciebie niczym, nie kochasz jej! Zdawało mi się — nie całowałeś jej...

— Jakaż ja jestem śmieszna!... Czyż można brać pod uwagę tę dziewczynę! Tylko ja, nieprawdaż? Tak, tak, ja! tylko ja, zawsze ja jedna!

— Mówże, okłamuj mnie lepiej! Mów, mów jeszcze! Widzisz przecież, że ci nie wierzę, że cierpię, że jestem podła! Tak, podła...

— Różo, wybacz mi, ale kocham go tak bardzo! On oszukuje i ciebie i mnie, ale ja go kocham i nie mam już sił. Oczekuje mnie, przyjdę do niego... całe popołudnie z nim! O Janku, zlituj się nade mną...

Samochód się zatrzymał. Wszystkie sprawy zostały już załatwione. Umówiona godzina zbliżała się. Czas zaczynał mi się dłużyć.

Było zaledwie czterdzieści minut po jedenastej. Spojrzałam na zegarek na ręku — prezent od Blanki — szukając oczami Jana, który jeszcze nie nadszedł. Ogarnęło mnie rozczarowanie.

A jeśli się rozmyślił, jeśli nie przyjdzie? P Przyjęłam go tak źle; przez cały ranek wszelkimi sposobami chciałam się uwolnić od niego?

Ha, ha, okazał się dobrym graczem do samego końca. Wymógł na mnie żądane spotkanie, gdy zaś się zgodziłam, zadowolnił tym swoją miłość własną i wystrychnął mnie na dudka!

Drgnęłam na to przypuszczenie. W przerażeniu rozglądałam się po placu. Czyż mam dłużej jeszcze czekać n aniego? Czyż nie zrobiłabym lepiej, odchodząc, zanim nadejdzie oznaczona godzina?

Uczułam się niezwykle upokorzoną, gdy sąsiedni zegar wydzwonił pierwsze uderzenie.

Chwiejąc się, wstałam; machinalnie otworzyłam drzwiczki samochodu, by wyjść.

— Dokąd pani idzie?

Przyszedł! Jest tu!

Cóż ja sobie wyobrażałam? Wszystkie zegary w Dijon wydzwaniały teraz godzinę; wesołe lub poważne dźwięki dochodziły z oddali.

Pchnął mnie łagodnie wewnątrz samochodu i usiadł obok mnie. Wóz ruszył w nieznanym kierunku.

Jestem zadyszana jak po długim biegu. Przed chwilą byłam pełna lęku, teraz czuję się niewymownie zmieszana.

On mówi — tak słodko słuchać jego głosu.

Jest przy mnie, przyszedł, kocha mnie więc naprawdę? Mój Boże, może jest bardziej szczery, niż przypuszczam! Może mnie nie okłamuje?...

— Dziękuję, iż pani nie sprawiła mi zawodu. Miałem co prawda przyrzeczenie pani; ale, mimo wszystko, serce niepokoi się tak łatwo, obawiałem się, aby jakiś nowy pomysł — nie ośmielam się powiedzieć kaprys — nie oddalił pani znowu ode mnie.

(Dokończenie nastąpi.)

JAN FELIKS PŁOCIENNIK

Wianek

NOWELA LUDOWA



Słońce zachodziło...

Nie zauważyła tego Hanka, zapatrzona w dal... Myślami była dziś daleko... bo przy nim... przy Tadku...

Och, jakże kochała tego chłopca o pięknych marzących oczach, wiecznie zamyślonego, cichego, z łagodnym, jakby zastygłym uśmiechem, trochę martwym uśmiechem na ustach, który był dla wszystkich równo grzeczny i nie okazywał nikomu wzgardy, ni też specjalnego wyróżnienia.

Był — niby to słońce — które równo wszystkich ogrzewa i równo wszystkich kocha.

Hanka kochała Tadka za tak piękne zalety, a jednak pragnęła, aby do niej inaczej się uśmiechał...

Rozmyślając nieraz stwierdzała, że staje się samolubną, lecz nie miała siły opanować się... Walczyła o ten uśmiech, który mógłby przynieść jej wielkie szczęście...

Ale nie wynurzała swych uczuć przed nikim i nie narzucała się ukochanemu, jak to czyniły wszystkie jej koleżanki. Chciała zdobyć jego serce czymś innym, więcej wzniosłym, lecz nie mogła wpaść na żaden oryginalny pomysł...

Wierzyła jednak w swą dobrą „gwiazdę" i miała nadzieję, prawie pewność, że nadejdzie chwila, kiedy otrzyma od Tadzika wyjątkowy, promienny uśmiech... I oczekiwała dnia tego z wielką tęsknotą.

Rozmyślania młodej dziewczyny — przerwały głośne okrzyki nadbiegających rówieśniczek.

— Hanka, chodźże na sobótki! — nawoływały dziewczęta, niosąc w rękach uplecione z pięknych kwiatków — wianki.

— Nie pójdę — odrzekła z uśmiechem — nie mam dla kogo rzucać wianka na wodę.

— Nie chces,to nie! Prosić ta ci sie nie bedziemy... — wykrzyknęły pospiesznie dziewczęta i pobiegły ku rzece, swawolnie chichocząc.

Hanka patrzyła chwilę na rozbiegane dziewczęta, a po tym wzrok jej padł na wspaniałe zachodzące słońce.

— Jaka śliczna jest zorza wieczorna — pomyślała Hanuś — lecz jakże cudna musi być zorza ranna, która wraz z uśmiechem pogodnego dnia — przynosi uśmiech nowego życia.

Słońce zginęło za lasem, w którym dziś w nocy zakwitnie legendarny kwiat paproci, piękniejszy od wszystkich innych kwiatów, gdyż jest symbolem szczęścia...

Naraz Hanka powzięła pewną myśl. Szybko wybiegła do ogrodu i przeskoczywszy parkan, zerwała kilkanaście ładnych kłosów żyta, po czym powróciła do domu i zabrała się do pracy.

Upletła mały, zgrabny wianek i napisała wymowny — podyktowany własnym sercem — wierszyk:

> Przyjm ten maleńki wianek,
> spleciony z polskich kłosów...
> niczym nie ozdobiony,
> jeno perlistą rosą...
> A jeśli odgadniesz, kim jestem —
> to przyjdź — czekam na łące...
> i daruj mi uśmiech promienny
> nim wzejdzie słońce...

I przyczepiła karteczkę z wierszykiem do oryginalnego wianka, po czym, wyszedłszy z mieszkania, podeszła do strumienia i puściła wianek na wodę, by z wartkim prądem popłynął w dal.

Hanka wiedziała o tym, że Tadzik co wieczór wysiaduje nad strumieniem i pogrążony w głębokiej zadumie — patrzy na płynącą przy jego ogrodzie źródlaną wodę.

— Zobaczy wianek! — wyszeptała cichuteńko młoda dziewczyna, marząc o tym, by noc dzisiejsza przyniosła jej wreszcie to tak upragnione szczęście!...

Bo jeśli dziwnym zbiegiem okoliczności on również myśli o mnie, to musi odgadnąć — i przyjdzie na pewno — marzyła serdecznie.

— — — — — — — —

Z dala od rzeki płynęły po rosie piękne melodie nocy świętojańskiej, napełniając młode serca nadzieją nadejścia szczęśliwych dni, a starszym niosąc wspomnienia minionych lat...

Hanka słuchała melodii zmierzchu, siedząc na łące między strumykiem a ogrodem.

Nagle usłyszała czyjeś kroki.

Szybko obróciła głowę w stonę, skąd pochodziło echo i naraz usta jej ozdobił jasny uśmiech.

Ku niej szedł Tadzik, trzymając w ręku jej wianek. Był rozpromieniony!

A kiedy podszedł do Hanki, ujął ją lekko za rękę i spytał:

— Czy to ty, Hanuś, puściłaś ten oto wianek na wody strumienia?

Hanka nic nie odpowiedziała.

Tadzik rozumiał jednak dobrze jej milczenie.

— Hanuś, jakże jestem szczęśliwy... — wyrzucił. — Toć to tak dawno cię kocham, a nigdy nie śmiałem wyznać ci tego.

I uśmiechnął się do szczęśliwej dziewczyny najpromienniej w świecie.

Chwilę stali, zasłuchani w rytm serc rozkochanych, aż naraz Hanka zanuciła melodyjnym głosem piosenkę do własnych słów:

> Noc dzisiejsza jest najkrótsza
> z wszystkich nocy roku...
> idź chłopczyku do swej chaty
> i nie wstrzymuj kroku!

— Hanuś droga! — Jak ty to wszystko ślicznie ujmujesz... — wyrzucił zachwycony młodzieniec.

Po chwili dodał.

— Masz rację. Dziś krótka noc!

Ale pamiętaj, że zwykle po krótkiej nocy — nadchodzi długi dzień, a który do nas uśmiechnie się wielkim szczęściem.

Dłonie Hanki i Tadzia zwarły się w mocnym uścisku, spojrzenia ich były dopowiedzeniem słów niewyrażonych.

Rozeszli się.

Zegar na wieży miejskiego kościółka zagłuszył odgłos ich kroków, które chciały przegłuszyć bicie młodzieńczych serc, a wiatr zda się śpiewał im na pożegnanie pieśń triumfu i wesela:

> Darował Tadzik — uśmiech Hance,
> tuż przy strumieniu — na łące...
> a miłość wielka splotła ich serca,
> nim weszło słońce...

FRED ANGERMAYER

CZEK

NOWELA

Przekład H. Lindemanna

Charlie Pitt, kapitan w stanie spoczynku był jedenastym z rzędu członkiem „Klubu Sprawiedliwych", jednego z najoryginalniejszych klubów Nowego Jorku. Członkowie jego musieli być oficerami z wojny światowej i posiadać odznaczenia za wyjątkową waleczność na polu bitwy. Założycielem klubu był emerytowany major, który cały swój olbrzymi majątek przeznaczył na rzecz klubu, którego założeniem miało być wynagradzanie dobrych uczynków i tępienie zła.

Każdy członek „Klubu Sprawiedliwych" musiał się zobowiązać do przeprowadzenia raz do roku powierzonego sobie specjalnego zadania.

Dzisiejszego ranka Charlie Pitt otrzymał list polecony, który zawierał następujące zadanie:

„Kochany Przyjacielu! Do klubu naszego ciągle wpływają skargi, że jubiler Phil Grant i niejaki Mac Leav, przyjmujący przedmioty w zastaw, przez swoją zbrodniczą chciwość zatruwają życie nie tylko swym pracownikom, lecz również tym wszystkim, którzy są od nich zależni. Wiesz przecież dobrze, kochany przyjacielu, że chciwość jest jedną z najobrzydliwszych wad, mogących ludziom stworzyć piekło na ziemi. Ponieważ nasz kodeks karny nie zawiera żadnego paragrafu, potępiającego tę wadę, przeto nadszedł czas, że „Klub Sprawiedliwych" weźmie tę sprawę w swe ręce i przynajmniej tym dwom łajdakom, których adresy odnależć można w książce telefonicznej, każe odpokutować za ich niecne postępki. Polegamy na pańskiej bystrości i zobowiązujemy Pana do unieszkodliwienia tych dwóch panów w ramach obowiązujących praw, tak, żeby Phil Grant, jak i szczególnie dający się we znaki, a przez prawo nieuchwytny Mac Leav ponieśli wybitną szkodę na majątku. W ręku tego ostatniego pieniądze stają się groźną bronią przeciwko biednym ludziom. Dlatego też nie ma dla niego większej kary, jak pozbawić go mamony, która jest jego bogiem. Ten szczegół niech kieruje Pańskimi zamiarami."

Charlie Pitt nie przestraszył się trudnością zadania.

Następnego dnia przemyślał do najdrobniejszych szczegółów plan, który miał stać się pułapką dla owych łotrów.

Przez kilka dni zwykle stateczny i spokojnie żyjący Pitt żył w dość oryginalny sposób. Postanowił stołować się pod „Niebieskim Pawiem", jednym z najbardziej znanych, luksusowych lokali. Mimo, że ceny w tym lokalu znacznie przewyższały sąsiednie drapacze chmur, to jednak Charlie beztrosko wybierał sobie menu, każąc sobie podawać przynajmniej trzy gatunki wina, a po obiedzie mokkę i cygara hawańskie. Kelner i jego pomocnicy otrzymywali od Pitta królewskie napiwki i każde jego życzenie wyczytywali już z samego spojrzenia.

Gdy samochód jego stawał przed „Niebieskim Pawiem", przybiegało od razu trzech portierów i bijąc się między sobą o otwarcie drzwiczek, z uśmiechem zadowolenia chowali do kieszeni banknoty dolarowe, które im Charlie bez zastanowienia wkładał do rąk. Pod „Niebieskim Pawiem", zaczęto Pitta uważać za bogacza, który usuwał w cień milionerów z Wall Street.

Po pewnym czasie Charlie był już tak sławnym gościem, że nawet powściągliwy mister Wood, właściciel lokalu, zbliżał się do jego stolika i pytał o życzenia.

W ten sposób upłynął tydzień od dnia w którym członek Nr. 11. „Klubu Sprawiedliwych" otrzymał polecenie od swego przełożonego.

Dziewiątego dnia Charlie Pitt zajechał swym samochodem przed interes Phila Granta i po chwili wszedł do wnętrza. Grant stał przy pulpicie i dyktował jakiemuś anemicznemu dziewczęciu list, który ta wystukiwała na rozklekotanej maszynie. Grant przedstawiał się, jako osobnik wysoki, niemożliwie chudy, jakby uosobienie biblijnych siedmiu lat chudych. Całość dopełniało wyświecone ubranie i brudny papierowy kołnierzyk. Przez chwilę przestał dyktować, odwrócił się w stronę klienta, poprawił okulary na nosie i zapytał:

— Czym wolno panu służyć?

Panienka chyłkiem skoczyła do przyległego pokoju i przekręciła kontakt, skutkiem czego zapaliła się jedyna, w dwunastoramiennym żyrandolu, żarówka.

Charlie rzucił żółte rękawiczki na swą tekę i rzekł krótko:

— Chciałbym nabyć pierścionek z brylantem.

Grant zwrócił się do swej uczennicy:

— Niech pani przyniesie teczkę z pierścionkami z okna wystawowego.

— Proszę się nie trudzić, rzekł Charlie. Znam to okno na pamięć. Jeśli innych pierścieni pan nie posiada, będę musiał niestety poszukiwać innego składu.

Grant przez chwilę zaniemówił. Okulary spadły mu na sam koniec nosa. Wreszcie rzekł z miłym uśmiechem:

— Lepsze pierścienie... Ile pan chce wydać pieniędzy?

— Chodzi o prezent. Cena nie gra tu roli.

Phil Grant sięgnął spod stołu pęk kluczy. Podszedł do stojącej w ciemnym kącie żelaznej szafy, kilka razy obejrzał się podejrzliwie, otworzył szafę, wyjął małe pudełeczko z czerwonej skóry. Potem zamknął szafę, krogulczymi palcami pogładził stalowe ściany i wrócił do stołu.

— Oto mam, proszę pana, coś specjalnego... W spadku po słynnej gwieździe filmowej... Najlepsze z tego, co posiadam.

Otworzył pudełeczko i w blasku skąpo wpadających do składu promieni słonecznych, błysnął deszcz iskier wspaniałego, niebieskiego brylantu.

Charlie uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Coś takiego właśnie szukałem, panie Grant... Ile ten pierścień kosztuje?

Grant przymrużył oczy, mruknął kilka niezrozumiałych słów do siebie i zaczął na papierze gryzmolić jakieś cyfry. Zdawał się taksować przede wszystkim klienta. Na jego sępiej twarzy grała istna symfonia chciwości.

— Sprzedam panu to wspaniałe cacko za siedem tysięcy dolarów.

Żaden muskuł twarzy Charliego nie drgnął. Grant przywarował jak pies, chcąc się rzucić na swą zdobycz, dziwiąc się przy tym, że zaoferowana cena nie wydawała się zbyt wysoką.

Charlie wyjął książeczkę czekową.

— Zgoda, mister Grant!... Lecz mogę zapłacić jedynie czekiem.

Przez pomarszczoną twarz Granta przebiegła ciemna chmura wątpliwości. Przez chwilę uczyniła się taka cisza w składzie, że Charlie słyszał tykanie swego zegarka. Wreszcie Grant zdobył się na zapytanie:

— Pan nie zamierza płacić gotówką?

— Jestem w przejeździe. Moje pieniądze znajdują się w Banku Państwowym w Filadelfii.

— Bardzo ładne miasto. W młodości byłem raz... w Filadelfii... Lecz pana nie znam... Jeżeli pan chce płacić czekiem...

— Czy to panu wystarczy?



Siła i zdrowie wśród kobiet.

Charlie podał Grantowi swój bilet wizytowy. Grant przeczytał.

— Kapitan Charlie Pitt. Kawaler Krzyża Zasługi.

Po przeczytaniu zwrócił bilet.

— Zupełnie wystarcza, lecz... pan rozumie.. muszę otrzymać referencję nowojorską o panu...

— Służę chętnie, panie Grant... Czy zna pan może „Niebieskiego Pawia.“

Jakby promień słońca przebiegł przez twarz starego jubilera.

— Ależ naturalnie!... Od dziesięciu lat dostarczam tam srebra stołowego i jestem dobrym przyjacielem właściciela.

— Tak?... Więc może z łaski swej, zapyta pan, mister Wooda, o informacje o mej osobie.

Grant podszedł do telefonu i połączył się z „Niebieskim Pawiem“.

— Halo, Wood, dzień dobry!... Tu mówi Phil Grant. Jest tutaj kapitan Pitt i zamierza kupić wspaniały pierścień brylantowy. Chce płacić czekiem. Mógłbyś mnie może poinformować, czy pan Pitt przedstawia wartość siedmiu tysięcy dolarów.

Właściciel „Niebieskiego Pawia“ musiał widocznie wyśmienicie poinformować Granta, gdyż ten, odłożywszy słuchawkę, skłonił się głęboko i rzekł:

— Wszystko w porządku, mister Pitt... Proszę o czek. Oto pierścień.

Po kwadransie Pitt siedział ponownie pod „Niebieskim Pawiem“, wypił kawę, podziękował Woodowi za przysługę, wsiadł później do samochodu i pojechał w dół Brodwayu. Zboczył w lewo do wąskiej uliczki i zatrzymał się przed lombardem Mac Leave‘a. Wyskoczył z samochodu i z trzaskiem zamknął drzwiczki. Wzbudził w ten sposób uwagę starego lichwiarza, który z cygarem w żółtych zębach przed drzwiami swego składu, rozmawiał z jakąś kobietą.

Stara kobieta wznosiła błagalnie ręce i patrzyła na starego skąpca proszącym wzrokiem.

— Niech pan poczeka przynajmniej trzy dni, panie Mac Leav. Syn mój wróci ze szpitala i wykupi pościel, to mój jedyny ostatni majątek.

Mac Leav obojętnie przesunął cygaro w drugi kąt ust.

— Bardzo żałuję, pani Patterson! Jednak termin jest terminem... Jutro przetarg.

Kobieta ze łzami w oczach chciała się oddalić, lecz Charlie podszedł do niej i zapytał:

— Ile pani potrzebuje, by wykupić pościel?

Pani Patterson spojrzała na Pitta jak na anioła. Ręką otarła oczy i szepnęła:

— Dwa dolary i... czterdzieści centów procentu.

Charlie sięgnął do kieszeni, wyjął banknot dwudziestodolarowy i dał staruszce.

— Proszę... niech pani wykupi swój zastaw... Resztę proszę zatrzymać. Ugotuje za to pani synowi wracającemu ze szpitala dobry obiad.

Mac Leav ze zdumienia wypuścił z zębów cygara. Potem udał się za staruszką i wydał jej pościel oraz siedemnaście dolarów i sześćdziesiąt centów reszty. Dopiero potem podniósł cygaro z ziemi. Z wyrazem szczęścia na obliczu, kobieta oddaliła się, oglądając się na Charlie‘go, dopóki nie zniknęła za węgłem ulicy.

Charlie tymczasem wkroczył do składu zapełnionego aż po zakopcony sufit dobytkiem biednych ludzi. Mac Leav przez chwilę spoglądał bezradny. Wreszcie zapytał:

— Czy zna pan panią Patterson?

Charlie zaprzeczył ruchem głowy.

— A może pan jest nowym opiekunem społecznym naszej dzielnicy?

— Ani jednym, ani drugim, panie Mac Leav... Jestem tylko klientem.

Rudy tłuścioch spoglądał niepewnie zza grubych szkieł swych okularów.

— Czego pan sobie życzy ode mnie?

Charlie spojrzał na niego ostro.

— Czy pan również kupuje, czy tylko przyjmuje w zastaw?

Gąbczasta twarz lichwiarza przeszła w fazę uśmiechu zdziwienia.

— Kupić?... W tych ciężkich czasach!...

Charlie pozornie bezmyślnie położył skórzane pudełko na swoją tekę, otworzył je i pozwolił rozsypać się blaskowi iskier. Potem rzekł wzruszając ramionami.

— Dobrze... Jeżeli pan nie ma ochoty kupić, pójdę na Brodway...

Lisie oczki Mac Leava dostrzegły wspaniały klejnot i jak urzeczone patrzały na stojące na tece otwarte pudełeczko, w którym skrzył się brylant.

Mac Leav wziął rozpęd.

— A kto powiedział, że nie kupię, mój panie?... Wspominałem tylko o psich czasach... Na giełdzie panuje zastój. Kryzys pochłonie całą Amerykę, jeżeli tak dalej pójdzie.

Gdy tak wesołym głosem narzekał na ciężkie czasy, równocześnie starał się zjednać Pitta mdłym uśmiechem.

Charlie z całym spokojem wyjął pierścionek z pudełka i położył go na szybie przed kupcem. Mac Leav chwycił chciwie pierścionek i wsadziwszy sobie w oko lupę zaczął badać klejnot. Obracał go w swych grubych, owłosionych palcach i spytał potem z taką ostrożnością, jakby od tego zależało jego życie.

— Ile pan za to żąda?

Charlie był przygotowany na to pytanie. Wyciągnął rachunek, wystawiony mu przez Granta przed godziną.

— Kupiłem ten pierścionek u Granta. Proszę się przekonać. Kosztował siedem tysięcy dolarów. Tyle samo chciałbym otrzymać.

Mac Leav otworzył szeroko usta i oczy.

— Jak?... Pan ten pierścionek kupił poprzednio? A zapłacił go pan?

— Czy pan sądzi, że Phil Grant dałby mi go bez pieniędzy.

Mac Leav zaczerwienił się jak rak. Oczy jego podejrzliwie patrzyły na Pitta.

— No, tak... lecz... to ciekawe!... Dlaczego chce pan nowonabyty pierścionek zaraz sprzedać?

Charlie roześmiał się mu prosto w twarz.

— Przypuszczam, że to moja prywatna sprawa, mister!... Niech pan przyjmie, że pierścionek ten nie podoba mi się.

Grubas obracał klejnot w palcach. Od pierwszego wejrzenia zakochał się w nim

— Przyznaję... piękny kamień! Bez skazy zaokrągleny ładnie, bez zarzutu... lecz ta cała sprawa nie wydaje mi się jasną.

Charlie spojrzał zimno na lichwiarza swymi stalowymi oczami.

— Panie Mac Leav, wypraszam sobie tego rodzaju przypuszczenia!... Jeżeli twierdzę, że pierścionek jest zapłacony, pan nie ma prawa w to wątpić. Zresztą niech pan się przekona i zatelefonuje do Granta.

Mac Leav odetchnął.

Właściwie sam mogłem wpaść na ten pomysł.

Ujął słuchawkę, pokręcił tabliczką automatu i połączył się z Grantem.

— Halo... Tu, Mac Leav!... Czy pan, panie Grant, sprzedał godzinę temu pierścionek za siedem tysięcy dolarów?... Jest tutaj u mnie jeden pan i chce mi ten pierścień sprzedać... Pytam tylko dlatego, aby potem nie było nieprzyjemności... Przecież pierścionek na pewno został zapłacony?...

Zdenerwowany Mac Leav tak silnie przycisnął słuchawkę do ucha, że zatrzeszczała. Żyły nabrzmiały mu na czole. Nagle zaczął podskakiwać na swych krzywych nogach, a usta jego wykrzywił brzydki grymas. Potem zaczął wrzeszczeć do aparatu:

(Dokończenie nastąpi.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

R E B U S

 Uł. F. Gałecki. (Czł. War. Kl. Szar.).



BILETY WIZYTOWE

pod. „Eros“.

C Z E S I A K W A P

T A M A R A D E K O K L

F. U R L E S K A

Jaki jest zawód właścicielek biletów wizytowych.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

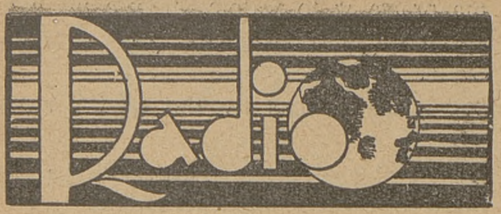
Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 24 czerwca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 23 „Moich Powieści“: K o n i k ó w k a: Tłum nie może się obyć bez ludzi wielkich i dzielnych, a jednak oni zawsze mu ciążą.

A r y t m o g r a f: a) Buta, huta, juta, nuta, pluta, b) Bura, jura, hura, Nubia, pluton.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Lipski Michał — Brodnica, Jabłoński Jan — Toruń, Kujawski Zbigniew — Poznań, „Taki — jeden“, Dębski Zygmunt — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Jabłońskiemu z Torunia i Lipskiemu z Brodnicy.



Niedziela, dnia 19 czerwca 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Regionalna transmisja ze Stanisławowa (przez Lwów) 12.01 Przemówienie wojewody stanisławowskiego gen. Stefana Pasławskiego 12.06 Poranek symfoniczny z Teatru Małopolskiego im. Moniuszki w Stanisławowie 13.00 O nocach i dniach — szkic literacki M. ąDąbrowskiej 13.15 Muzyka obiadowa 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Premiera słuchowiska „Pełną parę na Hong-Kong" 20.05 Zlot młodzieży szkolnej z Pomorza 21.00 We- i fortepian 18.00 „Frasquita" — operetka Lehara 17.00 Sergiusz Rachmaninow: Sonata na wiolonczelę sola syrena: Wariacje radiowe na temat „Umarł Maciek, umarł" 21.40 Transmisja fragmentów międzypaństwowego meczu lekko-atletycznego Polska—Francja 22.15 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 20 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.20 Fragmenty z oper Pucciniego (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.15 „Nie znani sprzymierzeńcy i wrogowie" — pogadanka dla dzieci 15.30 Muzyka lekka 16.00 Fragmenty z operetek i walce Jana Straussa 16.45 „Na falach południowego Atlantyku" — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Recital śpiewaczy Michała Zabejdy-Sumickiego 18.30 Audycja strzelecka 19.00 Sonata d-moll Antoniego Stolpe (na fortepian) 19.30 „Wesoły ogród zoologiczny" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Na wozie i pod wozem" — audycja słowno-muzyczna 22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki" (IV audycja).

Wtorek, dnia 21 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.20 Wirtuozki skrzypiec (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.15 Zagadka geograficzna — audycja dla dzieci 16.00 „Wesołe migawki" — koncert rozrywkowy 16.45 „Po pienińskich zakolach" — opowieść 17.00 Muzyka taneczna z płyt 18.00 Koncert żab — pogadanka 18.10 Utwory fortepianowe kompozytorów francuskich 19.00 Koncert kameralny 19.30 „Podróżujmy" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 22.00 Recital śpiewaczy Ady Sari 22.30 Muzyka poważna (płyty).

Środa, dnia 22 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.20 Dawne tańce w nowoczesnej muzyce francuskiej (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.15 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.00 Zespół harmonistów K. Englera 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Recital śpiewaczy Arno Niitof 18.55 Recital skrzypcowy Stanisława Jarzębskiego 19.30 Z dziejów walca — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Chopin a polska ziemia" (I audycja) 22.05 Koncert symfoniczny.

Czwartek, dnia 23 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 15.15 „Główna wygrana" — opowiadanie dla dzieci 16.00 „Na bałtyckim szlaku" — audycja muzyczna 16.45 C. O. P. — reportaż St. Kuszelewskiej-Rayskiej 18.10 Recital Sylwestra Czosnowskiego (klarnet) 18.30 „Sobótkowe ognie" — premiera słuchowiska 19.05 Recital śpiewaczy Haliny Leskiej 19.35 Koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Filon i Laura — wieczór dawnych piosenek 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 24 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.20 Robert Schumann: Kwartet A-dur op. 41 12.03 Audycja południowa 15.15 Nnieznani sprzymierzeńcy i wrogowie — pogadanka dla dzieci 16.00 Koncert rozrywkowy 16.45 C. O. P. — reportaż St. Kuszelewskiej-Rayskiej 18.00 Rzeczy ciekawe z techniki i przyrody 18.10 Recital fortepianowy Zb. Grzybowskiego 19.00 Koncert rozrywkowy 19.40 „Wieczór świętojański" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Muzyka taneczna 22.00 Koncert symfoniczny.

Sobota, dnia 25 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 15.15 Słuchowisko dla dzieci „Mały lord" 16.00 „Reportaż wśród gwiazd" — reportaż z płyt 16.45 C. O. P. reportaż Stanisławy Kuszelewskiej-Rayskiej 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Koncert chórów nagrodzonych w Radiowym Konkursie 19.35 Trio Lisowskich 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „A w sobotę wesoło" — koncert 22.00 Godzina niespodzianek.



KODEKS

Dwóch prawników sprzeczało się, siedząc w restauracji, o pewien artykuł kodeksu karnego. Wreszcie jeden z nich polecił kelnerowi zapytać się gospodarza, czy przypadkiem nie ma ustawy karnej.

Ten wraca po chwili i mówi:

— Gospodarz kazał panom powiedzieć, że niestety, nie ma kodeksu, ale za to wino, które panowie pili, nie musicie zapłacić!

TEATR w GRAJDOŁKU

— Jakie miał powodzenie „Otello?"

— Szalone! Pięć razy z rzędu trzeba było dusić Desdemonę, aby ukoić entuzjazm publiczności.

TRUDNE ZADANIE

— .. Proszę szanownej publiki — mówi naśladowca głosów zwierząt w Lunaparku po pierwszej części swego występu — już pokazałem, że mogę naśladować wszystkie zwierzęta. Może teraz kto z szanownej publiki życzy sobie wymienić zwierzę, którego głos chciałby usłyszeć?

— Ano dobrze, panie ładny — odzywa się ktoś z tłumu — niech pan nam teraz zrobi głos zakochanego śledzia...

MA RACJĘ

— Zaklinałeś się na głowę ojca i mówiłeś nieprawdę. Jak tak można?

— A co mi to szkodzi? Jestem synem ojca niewiadomego.

ZAKŁAD

Dwu Szkotów założyło się o szylinga, który potrafi dłużej przebywać pod wodą. Obaj dali nurka.

Zwłok do dnia dzisiejszego nie znaleziono.

POLSKI GULASZ

W pewnej prowincjonalnej restauracji figurują w jadłospisie takie pozycje: Gulasz węgierski 1 zł, gulasz polski 1.50 zł. Zdziwiony gość pyta kelnera o powód tej różnicy.

— Węgierski gulasz jest bardziej pieprzny, polski mniej...

— Dlaczegóż więc polski gulasz jest droższy?

— Bo po nim goście mniej piją...

I TO RACJA

Klient: — Mówiłeś mi pan, że ojciec tej panny nie żyje. Tymczasem właśnie dowiaduję się, że żyje i od trzech lat siedzi w kryminale

Pośrednik małżeństw: — I pan nazywa to życiem?

BRAK WYBORU

— Pan nie chodzi więcej do kawiarni centralnej?

— Tam za mały wybór.

— Czego?... gazet?...

— Nie... płaszczy.

CO INNEGO MIAŁ NA MYŚLI

A. do znajomego, któremu żona niedawno uciekła z innym:

— Serdeczne wyrazy współczucia, stary przyjacielu...

B.: — Masz tobie! Już nawet i o tem się dowiedziałeś że wróciła z powrotem?

W ZOO.

Ojciec po raz pierwszy zabrał swego synka do ogrodu zoologicznego. Zwiedzili już wszystko i zatrzymali się przed klatką z wężami. Mały podziwiał nigdy dotąd niewidziane gady i wkońcu rzekł.

— Bardzo ładne są te ogony, ale powiedz mi tato, gdzie są zwierzęta, do których one należą?

ZATRUTA STRZAŁA

Podczas obiadu u słynnego francuskiego męża stanu Talleyranda (1754 - 1838) jedna ze starszych pań zagubiła ząb. Następnego dnia, zawsze złośliwy dyplomata kazał dostarczyć sobie ząb koński i przesłał go owej pani z notatką, że ma zaszczyt odesłać jej zgubę. Ale tego samego jeszcze dnia otrzymał na swój złośliwy liścig następującą odpowiedź: „Kochany książę! My starsi, pochodzący ze złotych czasów przedrewolucyjnych, rozumiemy się jeszcze nieco na grzeczności. Godnem jest pańskiego doskonałego wychowania i wytwornego smaku to, że kazałeś sobie ząb wyjąć, aby zastąpić mi moją bagatelną zgubę. Ząb ten, jako dowód pańskiej uprzejmości, każę w złoto oprawić. i nie ominę żadnej sposobności, aby pokazywać go gościom moim, jako drogą pamiątkę po panu Talleyrand-Perigord, księciu Benventu i Dino. Toute á Vous Eleonore marquise de Cardignan".

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.